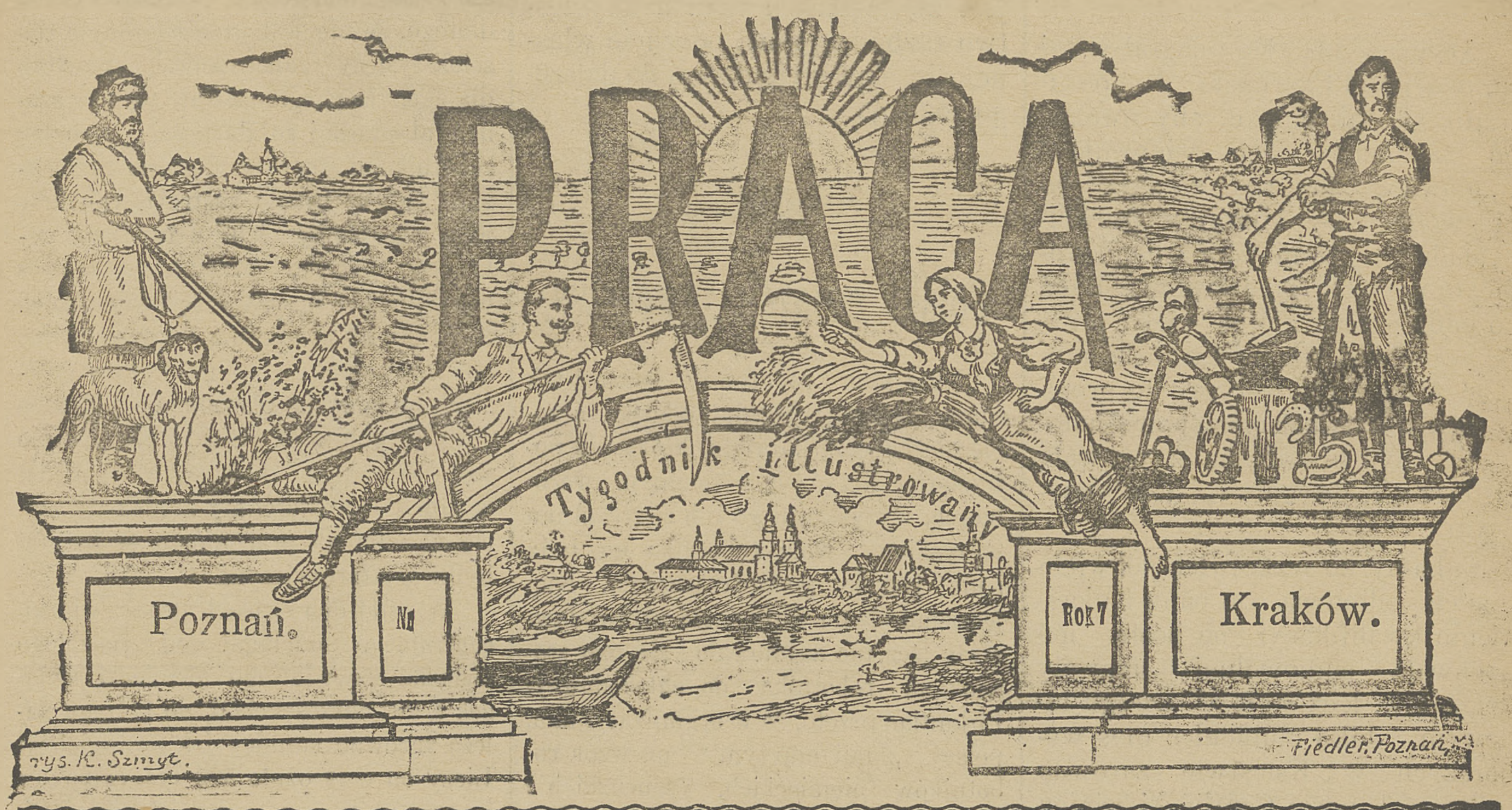
Nr. 29 Poznań, dnia 19-go lipca 1903. Rok VII



Emancypacya ludu w Prusach Zachodnich.

Epilog naszej kampanii wyborczej, który rozegrał się w okręgu tucholsko chojnickim, przeobraził się w potyczkę pomiędzy delegatami a wyborcami w wzmiankowanym okręgu, więcej! — w walną bitwę pomiędzy zachowawcami, tj. klerem i obywatelstwem, a ludem.

Przesilenie to wywołała znana uchwała zapadła na zjeździe delegatów, składających się przeważnie z księży. Oni to rzucili rękawicę ludowi, pod wpływem nieszczęsnej broszury ks. Kujota odrzucając bezwzględnie kandydata ludowego, pana Kulerskiego, i narzucając wyborcom osobistość, którą ci skreślili z listy kandydatów.

Myślałbyś Czytelniku, że żyjemy w owych patryarchalnych czasach, gdy lud w swej ciemnocie na zebraniach przedwyborczych przytakiwał wszystkiemu, miał księży i panów za nieomylnych, a oni szafowali mandatami, jak swą własnością. Z tych czasów datuje się też przekonanie, panujące jeszcze widocznie w Prusach Zachodnich, że delegatom przysługuje prawo mianowania kandydatów. Zaprawdę nie! Jeżeli ongi tak bywało, to dlatego, że lud nie przejrzał, nie dorósł do swego zadania. Ale stosunki te były nienormalne i czas zerwać z tą przeszłością, czas oddać masom wyborczym przysługujące im prawa, czas posunąć społeczeństwo naprzód na drodze postępu.

Mandaty rozdają wyborcy, a nie delegaci, którzy jak to leży już w określeniu „delegat" są posłami z ramienia wyborców i, co samo przez siebie się rozumie, muszą być wyrazem woli tychże. Władza ich jest ograniczona; objawia się głównie wtedy, gdy w jednym okręgu ustanowione zostały różne listy kandydatów. Chociaż kompetencye delegatów nie są dotąd niestety sformułowane dokładnie w regulaminie wyborczym, nie może być naszem zdaniem najmniejszej wątpliwości pod tym względem, jak to dowodziliśmy dawniej.

Jeżeli bowiem delegaci nie mają obowiązku liczyć się z wolą wyborców, to zebrania przedwyborcze i listy kandydatów nie mają najmniejszego celu. Wyborcy ustanawiają listy te chyba na to, aby delegaci ich się trzymali. Na jednego z kandydatów *musi* się zgodzić komitet i zjazd delegatów, w żadnym zaś wypadku nie przysługuje mu prawo mianowania kandydata niemiłego większości wyborców.

Zjazd delegatów podeptał prawa wyborców, odsądził lud od zdolności wybierania kandydata, wyrządził mu obelgę, narzucił się mu za samowładnego pana, przywłaszczył sobie władzę, jakiej nie ma. Autokratycznem, wstecznem i bezprawnem swem postępowaniem wywołał falę oburzenia, i na niego spada wina za secesyą.

Karność i solidarność, w których leży siła naszego społeczeństwa, każdy z nas nauczył się cenić dlatego obraz rozbratu i wyłamywania się z pod uchwały delegatów nie jest nam wcale miłym. Wszelako są okoliczności wyjątkowe, w których nie pozostaje nic innego jak chwycić się środka nielegalnego, iść na przebój, rwać pęta. W dziejach naszych z ostatniego stulecia musieliśmy nieraz iść na przebój, a przyczyną tego był — *gwałt*, jakiego się na nas dopuszczano. Podobne okoliczności podobało się stworzyć wstecznym panom delegatom zachodnio pruskim, którzy zapleśnieli na uboczu, powstali za postępującemi naprzód dzielnicami polskiemi i nie nauczyli się jeszcze szanować woli ludu.

Dziwimy się niezmiernie panu Sikorskiemu, że mógł pozwolić na to, aby wysunięto go jako taran przeciwko ludowi i nie pojmujemy, jak mógł ubiegać się o mandat, wiedząc, że wyborcy go sobie nie życzą. Nie wątpimy, że p. Sikorski jest, jak zapewniają gazety, czcigodnym obywatelem, nie chcielibyśmy też zrobić mu najmniejszej ujmy, atoli nie możemy zataić, że nie odegrał tu ani pięknej, ani

wdzięcznej roli, pozwalając się wygrać jako atut przeciwko wyborcom, przeciwko — ludowi polskiemu.

Dwuznaczną rolę odegrał w tej sprawie poseł Czarliński. Nie posuwamy się tak daleko, aby uważać go za „pierwszego winowajcę“ i „głównego sprawcę secesyi,“ bo przewodniczący komitetu prowincyonalnego jest niejako królem stojącym ponad stronnictwami. Bądź co bądź jednak nawet cień przypuszczenia, że poseł Czarliński, którego zaliczamy wszyscy do grona posłów o barwach postępowo ludowych, mógł bratać się z uchwałą rstecznych delegatów, jest przykrym.

Sądzimy, że aczkolwiek jak wielu innych odmawia on panu Kulerskiemu kwalifikacyi na posła, nie pochwala samowolnej uchwały delegatów, lecz staje w szeregu ludowym. Jako ulubieniec mas wyborczych w Księstwie zarówno w Prusach poseł Czarliński winien dać, naszem zdaniem, publiczne wyjaśnienie, rozproszyć wątpliwości i stanowczo oświadczyć się za ludem. Wtedy zagrzmiały by znowu na cześć jego huczne oklaski.

Wobec klęski pana Sikorskiego a zwycięstwa pana Kulerskiego najzaciętsi nawet przeciwnicy tego ostatniego musieli przyjść do przekonania, że uchwała delegatów była fatalnym błędem. Nieopatrznie, wiedzeni ślepą niechęcią osobistą, zgotowali sobie klęskę taką, że nie pozostaje im nic innego jak — ustąpić. Po tem co zaszło komitet i delegaci nie mogą spodziewać się, aby ogół darzył ich zaufaniem i należytym szacunkiem. Stali się — niemożliwymi.

Burzliwe zakończenie wyborów w Prusach Zachodnich jest w gruncie rzeczy starą jak świat historyą. Nie było ruchu emancypacyjnego, przy którym obyłoby się bez gwałtownych starć i burz. Nikt berła władzy nie oddaje chętnie i punkt ciężkości w społeczeństwie nie przesuwa się cicho, bez kataklizmu. Zważywszy to, nie rozdzieramy wcale szat nad secesyą w okręgu tucholskim na wzór pism zachodnio pruskich. Przeciwnie, uważamy tę secesyą za potężne ogniwo w naturalnym, elementarnym ruchu emancypacyjnym warstw niższych. A ponieważ są one powołane do wielkiej misyi narodowej, wszystko co znamionuje postęp w ich rozwoju, co przyczynia sie do ich usamodzielnienia i uświadomienia jest objawem zdrowym i zbawiennym.

Zwycięstwo pana Kulerskiego jest zwycięstwem ludu a zwycięstwo rozbudzić musi poczucie własnej siły, stać się bodźcem do dalszego rozwoju.

Quis.

Polski związek zawodowy.

Nasz stan robotniczy musiał tak samo jak inni robotnicy odczuć na sobie ciężką dłoń kapitału, który nie potrzebując liczyć się z ciemnym pracobiorcą, wyzyskiwał go lub zagrażał mu wyzyskiem. Dola robotnika nie była i nie jest do pozazdroszczenia. Niejednemu złemu zapobiegło ustawodawstwo, lecz nie zajmowało się ono stosunkiem robotnika do chlebodawcy. Pojmując przeto, że w organizacyi siła, polscy „biali murzyni“ na wzór robotników niemieckich, francuzkich i innych zeszeregowali się w korporacyę, której zadaniem jest nietylko rozszerzać oświatę i zogniskować rozproszonych robotników lecz czuwać nad ich interesami, nad ich płacą i w danym razie drogą układów lub strejku dążyć do naprawy ich bytu materyalnego.

Polski związek zawodowy był koniecznością nie tylko ekonomiczną ale narodową, gdyż socyaliści wciągali pracowników fabrycznych do swego związku t. zw. centralnego i, co gorsza, przerabiali ich w nim na swe kopyto, tak iż zatracali swe cechy narodowościowe i wyznaniowe. Bo socyalizm w Niemczech wyzyskuje swój związek zawodowy w celach politycznych, a chociaż stroi się w piórka międzynarodowości, nie jest wolnym od germanizacyjnych zakusów. Że polskiemu robotnikowi socyalistyczny związek zawodowy nie jest wcale idealnem ogniskiem, że niemiecki socyalista traktuje Polaka po macoszemu, a nawet nastaje na jego język, okazuje się nie od dzisiaj w głębokich rozterkach, jakie dzielą polskich „towarzyszy“ od niemieckich.

Polski związek zawodowy, powołany do życia rok temu, nie rozwijał się dość szybko, ale jednak zyskał w tym okresie czasu blizko 700 członków. Zawiązany na bardzo racyonalnej podstawie posiada dobre warunki rozwoju, i naszem zdaniem, może zadośćuczynić zadaniu nawet na wypadek strejku. Jeżeli nie prosperował, jak należy, tłomaczy się tem, że niejeden zbyt wiele wymagał od razu, wymagał mianowicie, aby zwiazek posiadał olbrzymi kapitał, na którym można-by się oprzeć. Tymczasem polski związek zawodowy nie potrzebuje tak znacznych funduszów jak niemieckie korporacye raz dlatego, że nie jest przeznaczonym dla setek tysięcy robotników, a powtóre dlatego, że zorganizował się na zasadzie absolutnej solidarności pomiędzy robotnikami wszystkich gałęzi przemysłu. Gdyby przeto zastrejkowali krawcy, płacono-by ich z funduszu zebranego nietylko przez krawców lecz wszystkich innych rękodzielników. A ponieważ nie można przypuszczać, aby równocześnie we wszystkich gałęziach przemyslu okazała się potrzeba strejku, ponieważ polski robotnik nie jest skłonnym do strejku i widzi w nim tylko ostateczny środek wywarcia nacisku na pracodawcę — kapitał byłby wystarczającym.

W ostatnich czasach prócz związku centralnego odciągał od polskiego związku zawodowego niemiecki związek t. zw. chrześciański, do którego należą zarówno katolicy jak ewangielicy. Liczy on dziś około 175 tys. członków i rozporządza znacznymi funduszami. Za przystępowaniem do tego związku oświadczyli się na zjeździe w Poznaniu także księża patroni naszych towarzystw robotniczych. W „Ruchu społecznym“ zalecili kapłanom, aby agitowali na rzecz związku chrześciańskiego, a odradzali przystępowanie do polskiego związku zawodowego.

Decyzya ta księży patronów wywołała w kołach naszych robotników niemałe rozgoryczenie tem więcej, że w poznańskiej Farze zalecano już z ambony niemiecki związek „chrześciański“ i tu i owdzie księża gotują się do zwalczania polskiej organizacyi zawodowej. Rozgoryczenie to — zupełne naturalne i słuszne, bo można-by oczekiwać, że *polski* ksiądz zalecać będzie *Polakom polski* związek zawodowy, a nie niemiecki.

Czemu to księża postanowili zwalczać polski związek? Na pytanie to odebraliśmy wyjaśnienie na prywatnem zebraniu z ust dwóch zajmujących się tą sprawą duchownych. Ponieważ zebranie to było prywatne, nie uważamy za odpowiednie wymieniać nazwisk i rozpisywać się o nader ożywionej szermierce pomiędzy księżmi, a robotnikami i zarządem polskiego związku zawodowego. Niemniej jednak wolno nam wyłowić kwintesencyę z tego zebrania, z którego wynieśliśmy pewność, że księża wrogie zajęli stanowisko wobec polskiej organizacyi dlatego, iż nie mają zaufania, aby ona zadosyć uczyniła potrzebom robotników w razie strejku.

Innego zdania są robotnicy, którzy

rozumują o tem tak, jak wyłuszczyliśmy powyżej.

Zresztą wszystko przemawia za tem, aby robotnicy nasi przystępowali do polskiego związku. Z tych racyi, z jakich wielu robotników niemieckich nie przyłączyło się do związku socyalistycznego lecz założyło własny: chrześcijański, powołano u nas do życia polski związek. W związku centralnym Polak utracić może wiarę i narodowość, w związku chrześciańskim — narodowość i wiarę. W obu związkach będzie zawisłym od — Niemców. Będąc w mniejszości wyzyskują oni o ile mogą Polaków, a cóż dopiero byłoby gdyby byli panami Polaków, których nie oduczą się chyba uważać zawsze za mniejwartościowych drugoklasowych obywateli. Na potwierdzenie tego nie brak dowodów.

Jeden wystarczy. Niedawno przy strejku stolarzy w Poznaniu zalecany związek chrześciański płacił niemieckim robotnikom ile należało, natomiast polskich robotników zbywał kilku markami i — doradzał im szukać pracy po za Wielkopolską. Przy tej okazyi zalecany związek chrześciański nie postąpił sobie ani po chrześciańsku, ani sprawiedliwie lecz po — germanizatorsku. Że przy takiej opiece związku niejeden nasz robotnik przymierał głodem — zbytecznie dodawać. Jakoż robotnicy poznańscy poznali się na niemieckich chrześcianach i z wielu racyi bardzo dobrych, których tu już wyszczególniać nie możemy, *nie chcą do ich związku należeć.*

Z tym faktem nasi księża muszą się liczyć bądź co bądź. Zamiast płynąć pod prąd, zamiast agitować za niemieckim związkiem wbrew popularnej tendencyi i nadużywać kazalnicy, winni przecież pójść ręka w rękę z robotnikiem, o którego tu chodzi. W każdym razie nie wolno im zwalczać polskiego związku zawodowego, jeżeli nie pragną — *walki stanu robotniczego przeciwko duchowieństwu.*

Nie można się łudzić, aby robotnik pozwolił sobie coś narzucić z góry. W tej materyi, w której chodzi o jego skórę, on jest najwyższą instancyą i do jego woli należy się zastósować wszystkim pod grozą walki. Kto też rzeczywiście dba o dobro robotnika, kto kocha lud szczerze — nie będzie mu się kładł kamieniem na chwalebnej drodze do *samodzielnego* stworzenia własnej organizacyi zawodowej, lecz musi go popierać. Nie wątpimy przeto, że duchowieństwo nasze cofnie swą uchwałę, zmieni front w interesie swoim i robotników.

Polski związek zawodowy daje rękojmię, że rozwijając się sprosta pod każdym względem zadaniu, a zasługuje na poklask całego społeczeństwa między innemi także dlatego, że wyłonił się z zdrowej zasady *samopomocy.* Dziś robotnik tak jak chłop i wszyscy inni rozumie, że *wszędzie i zawsze* tylko na sobie możemy polegać i jeżli sami sobie nie pomożemy — nikt nam nie pomoże.

Dlatego tem serdeczniej życzymy pomyślnego rozwoju polskiemu związkowi zawodowemu.

Ordon.

Pożyteczna literatura.

II.

Autor książki *„Der wirthschaftliche Kampf der Deutschen mit den Polen um die Provinz Posen,“* poświęca pierwszy jej rozdział wyłącznie *rolnym* ekonomicznym warunkom tej dzielnicy. Rozpisuje się w nim obszernie o jej położeniu, obszarze, jakości i wydajności ziemi, o opadach deszczowych, o lasach, produkcyi rolniczej, o stosunku większej do mniejszej własności ziemskiej, o drogach oraz innych środkach komunikacyjnych, o przemyśle, o podziale ludności na poszczególne dziedziny i źródła zarobkowe, jak np. rolnictwo, handel i przemysł, wreszcie o zdolności zarobkowej ludności wogóle. W tym rozdziale operuje prawie tylko cyframi, już znanemi z publikacyi urzędowych. Mimo to przytoczymy z nich kilka bardziej nas interesujących.

Stwierdza on nasamprzód, że „prowincya“ poznańska ma charakter bardziej rolniczy niż jakakolwiek inna prowincya pruska. Podczas bowiem, gdy w *Prusach Wschodnich* przypada na ludność rolniczą 57,2 procent ogólnej liczby ludności, w *Prusach Zachodnich* 54 procent, na *Pomorzu* czyli w *Pomeranii* 47,6 pr., na *Śląsku* zaś tylko 35,3 proc. — obejmuje ta część ludności w *Księstwie* aż 58,2 pr. ogólnej ludności. Wyrażone w zwykłych cyfrach znaczy to, że z rolnictwa włącznie z leśnictwem i rybołóstwem żyje w Księstwie około 1,040,000 ludzi. Ponieważ zaś wśród własności ziemskiej Księstwa przeważa własność *większa,* przeto i liczba robotników rolniczych jest w tej ogólnej cyfrze stosunkowo wielka, składa się bowiem z 605,869 osób, co stanowi 34 procent całej ludności. .

Ta przewaga rolnictwa jako źródła zarobkowania i bytu ludności zmniejsza się jednak dość szybko. W roku 1882 ludność z rolnictwa żyjaca stanowiła bowiem jeszcze 64,7 procent, zmniejszyła się więc w stosunku do roku 1895, z którego pochodzą poprzednie cyfry autora, o przeszło 6 proc.

Przewagę większej własności ziemskiej w Księstwie wykazują wymownie następujące cyfry: na posiadłości powyżej 100 hektarów obszaru przypadało w roku 1882: 55,37 proc., w roku 1895: 52,19 proc. — na posiadłości średnie od 20 do 100 hektarów: w roku 1882: 19,88 proc. — w roku 1895: 20,49 proc.; wreszcie na posiadłości małe, poniżej 20 hektarów: w roku 1882: 19,09 proc., w roku 1895: 20,83 procent ogólnego obszaru. Odpowiednio do takiego rozkładu własności ziemskiej było w roku 1895 *samodzielnych* posiedzicieli lub dzierżawców rolnych tylko 86,025 — czyli 8,3 procent całej ludności, żyjącej z rolnictwa.

Taki rozkład ziemi nie jest w dzisiejszych warunkach i stosunkach społeczno ekonomicznych ani korzystnym ani znośnym; pocieszającym jest fakt, że — jak widać z powyższych cyfr, większa własność od roku 1882 stopniała o przeszło 3 proc., średnia zaś i mniejsza podniosły się niemal w tej samej mierze.

Nawiasowo zaznaczymy tu, że słuszność była w każdym razie po stronie tych, którzy podczas obrad nad nową *niemiecką taryfą celną* zwracali się przeciwko głosowaniu Koła polskiego za wysokiemi cłami na zboże. Jeżli bowiem dodamy do liczby ludności *nieżyjącej* z roli (około 750,000) jeszcze małych właścicieli ziemskich, nie produkujących zboża *na sprzedaż,* otrzymamy jako rezultat, że nawet bez robotników rolniczych przeszło 50 procent ogólnej liczby ludności z wysokich ceł zbożowych bezpośrednio żadnego nie miałoby zysku.

Sąd swój o ekonomicznych warunkach bytu naszej dzielnicy streszcza autor w następujących tezach: 1) że jest ona dzielnicą ubogą; 2) że jest przeważnie agrarną (rolniczą); 3) że jej ludność rolnicza ma rozkład *arystokratyczny,* bo braknie jej między wielką a małą własnością ogniwa pośredniego, to jest *odpowiednio* licznego i kapitalistycznie silnego, a tem samem ekonomicznie zdrowego stanu włościańskiego; — 4) że w miastach Księstwa niema dominującego stanu mieszczańskiego, który opiera się zwykle na *większym* przemyśle; — 5) że nasz przemysł w Księstwie nie wykracza po za zakres rzemiosła a nadto uprawniony jest po większej części tylko jako *zajęcie poboczne.*

W drugim rozdziale książki prze-

chodzi autor bezpośrednio do kwestyi *narodowości.* Za główną i rozstrzygającą zmianę narodowości uważa on język ojczysty. Wychodząc z tej zasady, żali się „że wszystkie dotychczasowe spisy ludności w Księstwie były właśnie pod tym względem *niedokładne.*“ Z początku bowiem nie pytano kto jaki język uważa za swój *ojczysty,* lecz który język *rozumie?* Zaliczono tedy do Niemców nawet tych, którzy ledwie parę słów po niemiecku rozumieli. Przy spisie roku 1890 odstąpiono od tej metody, i wówczas atoli pozostawiono spisującym ludność za wiele kompetencyi i swobody, wskutek czego mogły rzeczywiście ze strony spisujących ludność *Niemców* zachodzić nadużycia na *korzyść niemczyzny.* Mimo to autor spis z tego roku uważa za najdokładniejszy pod względem narodowym. Stwierdza też, że od roku 1861 do roku 1890, *a więc za rządów Bismarcka nie odbył się w Prusach ani jeden spis ludności według narodowości. Wnosić ztąd można, że książę nie chciał, aby się w Niemczech dowiedziano, ile wogóle jest w monarchii Pruskiej Polaków;* widocznie zależało mu na tem, aby nikt na tej podstawie nie mógł zaprzeczyć jego antipolskim *kłamliwym* wycieczkom. Stwierdzając to, autor mimowoli piętnuje całą narodowościową politykę „żelaznego księcia,“ jako nieszczerą, a nawet wprost *obłudną.*

Zestawiając dotyczące tej kwestyi cyfry, autor przychodzi do, naszem zdaniem jeszcze zbyt śmiałego wniosku, że z ludności *katolickiej* Księstwa jest co najwyżej 10,8 procent, czyli tylko 126000 Niemców katolików, że zaś ogromną „resztę“ ludności katolickiej, bo przeszło 1 milion i 100,000 stanowią Polacy. Odwołując się przytem na publikacyą niemieckiego Towarzystwa historycznego w Poznaniu, wykazuje, że Niemcy-katolicy mieszkają przeważnie w powiatach *międzyrzeckim* (14,976 głów); *w chodzieskim* (12,402 głów); *w skwierzyńskim* (11,028 głów); *w leszczyńskim* (9813 głów); *w wschowskim* (9562 głów); *w czarnkowskim* (6432 głów); *w bydgoskim wiejskim* (5334 głów); *w babimojskim* (4463 głów); *w wieleńskim* (2091 głów). Reszta rozrzucona jest w mniejszych liczbach po wszystkich innych powiatach.

Do tej statystyki dodaje autor inną, świadczącą o tem, jak skwapliwie zbierał materyał, przemawiający na korzyść tendencyi jego pracy, a mianowicie za tem, że dużo Niemców w Księstwie ulega spolszczeniu. Podaje bowiem kilkaset nazwisk rzekomo niemieckich, których właściciele podczas jego podróży po Księstwie wskazywano mu jako *Polaków.* Między tymi figuruje także wydawca „Pracy“ pan *Biedermann.* Dalej wymienia autor nazwisko *Hedinger,* dodając, że noszący je jeszcze gdy się żenił z Polką, uważał się za Niemca (?), dziś zaś również czuje się Polakiem.

Jeden z jego wniosków, że przy wyborach do parlamentu Polacy w kilku okręgach, zwłaszcza w *wyrzyskim* zawdzięczają swe zwycięstwo *stale* głosom „omamionych przez polskie duchowieństwo Niemców-katolików,“ doczekał się już świetnego zaprzeczenia przy tegorocznych wyborach. Zdobyliśmy bowiem obecnie ten okręg tylko *polskiemi* głosami, a *znaczniejszą* przytem większością, niż poprzedniemi razy.

Trzeci rozdział książki traktuje o stosunku ludności według *wyznania,* o większej płodności katolickich niż ewanielickich małżeństw, o małżeństwach mieszanych etc. Ten rozdział zawiera najmniej interesujące dla nas cyfry. Dowiadujemy się jedynie z niego, że (wbrew twierdzeniu autora) małżeństwa mieszane wychodzą stale na naszą *niekorzyść.*

Bardziej zajmującym jest rozdział czwarty książki. W nim autor bawi się w *refleksye historyczne.* Skarży się więc na cesarza niemieckiego Ottona III, że oszołomiony przepychem, z jakim go witał nasz *Bolesław Chrobry* podczas pielgrzymki do zwłok św. Wojciecha w *Gnieźnie, „założył“* w tem mieście osobne („słowiańskie“) arcybiskupstwo i przez to sparaliżował raz na zawsze germanizatorskie wpływy arcybiskupstwa niemieckiego w Dziewinie (Magdeburgu) na kraje i szczepy polskie.

Skarga ta zawiera pewną „historyczną niedokładność,“ ale mniejsza o to. My wiemy lepiej, jak powstało arcybiskupstwo gnieźnieńskie.

Następnie opisuje autor imigracyą czyli przychodźtwo Niemców do ziem polskich. Dzieląc je na trzy główne fazy: osiedlanie ludności niemieckiej na ziemi polskiej przez *niemieckie klasztory i książąt piastowskich;* napływ Niemców do Polski *podczas reformacyi* i wojny trzydziestoletniej, gdy to uchodzili z własnej ojczyzny przed prześladowaniami religijnemi, a znajdywali przytułek *w Polsce pod panowaniem światłych i ludzkich królów np. Władysława IV,* i wreszcie *kolonizacyą niemiecką* po zaborze przez królów pruskich — stara się autor wykazać, gdzie i jak się ta napływowa ludność osiedlała, w jakich żyła warunkach, jaki wpływ wywierała na kraj i lud polski, w jaki sposób częściowo zatraciła swą narodowość, częściowo zaś zachowała ją do ostatniej chwili, czem się trudniła i dlaczego w nowszych czasach znów zaczęła się wynosić na zachód. Te dość zajmujące szczegóły, mianowicie zaś ciekawą statystykę autora co do wpływu *jakości ziemi* na wzrost lub ubytek ludności niemieckiej, jak niemniej jego statystykę co do wychodźtwa na Zachód ludu polskiego podajemy poniżej w artykule III, odkładając resztę naszych uwag do następnych artykułów, nie chcąc od razu zbytecznie nużyć Czytelników liczbami i wysnuwanemi z nich wnioskami.

III.

(Wychodźtwo czasowe.)

Bardzo obszernie zajmuje się autor książki: *wychodźtwem czasowem* z Księstwa, czyli wychodźcami, których dawniej zwano u nas *„obieżysasami“.* W tem wychodźtwie dopatruje się on głównego źródła wyrastającego z dzielnicy naszej dobrobytu wśród ludności polskiej. Uwagi swoje uzupełnia i uzasadnia licznemi zestawieniami statystycznemi, jak podobnie szczegółowych jeszcze nie mieliśmy. Ponieważ zaś i dla nas sprawa tego czasowego wychodźtwa jest niezmiernie *ważną,* nietylko z materyalnego, ekonomicznego, ale także z narodowego punktu widzenia, przeto i my temi jego uwagami i liczbami zajmiemy się obszerniej. Zaznaczamy przytem na wstępie za autorem, że cyfry w przytoczonych przez niego zestawieniach nie są zupełnie dokładne. Rząd zaczął śledzić to czasowe wychodźtwo baczniej dopiero od roku 1891. Nie zarządził jednakże co do liczby wychodźców ścisłej a metodycznej ankiety *statystycznej,* lecz zebrał odnośne liczby sposobem *aproksymatywnym* czyli szacunkowym za pośrednictwem komisarzy obwodowych, burmistrzów i sołtysów. Nie wszyscy z nich spełnili powierzone im zadanie z równą sumiennością; przypuszczać też trzeba, że podane przez niego cyfry są zbyt niskie (np. o ile dotyczą powiatu *pleszewskiego*) — mimo to dają nam w przybliżeniu chociaż dość wiarogodny obraz rozmiarów naszego wychodźtwa czasowego. Szkoda tylko, że przy tych dochodzeniach pominięto zupełnie kwestyą, jak się to *wychodźtwo* rozkłada na *obie narodowości* zamieszkujące naszą dzielnicę.

Autor zaznacza, że rozpoczęli je Niemcy, sądzi jednakże, że następnie i po dziś dzień olbrzymią większość wychodźców stanowili i stanowią *Polacy.* Zdanie to najzupełniej podzielamy. Jako przyczynę, która wychodź-

spowodowała, podaje autor również trafnie coraz intenzywniejsze gospodarstwo na zachodzie, które wymagało coraz więcej — a przy bezustannem obniżaniu się cen płodów rolniczych coraz *tańszych* robotników. Gdy rozwijający się ogromnie przemysł niemiecki zaczął wyludniać okolice rolnicze i gdy wskutek tego na zachodzie rolnikom zabrakło rąk do pracy, a równocześnie ceny pracy zaczęły tam wzrastać, właściciele ziemscy zwrócili uwagę na wschodnie dzielnice monarchii pruskiej i pomagali sobie sprowadzaniem tanich robotników ztamtąd — z czego z biegiem lat powstała tam ta ogromna wprost emigracya zarobkowa.

Zdaje się, że dosięgła ona punktu kulminacyjnego właśnie w roku, w którym rząd po raz pierwszy zarządził owe dochodzenia. W tym bowiem roku liczba wychodźców jest największa. Następnie zaczęła się obniżać, w ostatnich atoli latach znów wzrasta.

Ogółem wyszło z Księstwa na zachód za zarobkiem na pewien czas — nie na zawsze — w latach:

1891	49,610	osób obojga płci
1892	46,864	„
1893	40,661	„
1894	36,405	„
1895	35,946	„
1896	49,245	„
1897	41,497	„
1898	42,294	„

— czyli w średnicy tych ośmiu lat: 42,815 osób.

Z tych szukało zajęcia i znalazło je na zachodzie w *rolnictwie* osób:

	męskich	*żeńskich*	*razem*
1891.	23 845	18 589	42 434
1892.	20 958	18 012	38 970
1893.	19 672	16 932	36 604
1804.	18 462	15 835	34 297
1895.	18 318	15 029	33 347
1896.	20 771	15 525	36 296
1897.	21 937	15 864	37 801
1898.	22 414	15 717	38 131

Natomiast do przemysłu zwróciło się osób:

	męzkich	*żeńskich*	*razem*
1891	809	105	914
1892	1291	337	1628
1893	1041	183	1224
1894	1075	228	1303
1895	1449	280	1729
1896	1542	210	1752
1897	2607	368	2975
1898	3207	365	3572

Dla uniknienia nieporozumień zaznaczamy tutaj raz jeszcze, że cyfry te obejmują jedynie *czasowe* wychodztwo, tak zwane *sezonowe*, że przeto nie wchodzą w nie ci wychodźcy, którzy na *stałe* conajmniej na rok *cały* udali się za zarobkiem do *Westfalii i Nadrenii* lub do centr przemysłowych w innych prowincjach pruskich.

Czujny.

Powódź w Krakowie.

Kraków, dnia 30 lipca.

Straszna klęska nawiedziła Kraków i jego okolicę najbliższą w postaci wylewu Wisły o rozmiarach niebywałych od roku 1813 — a więc od blisko 100 lat. Sprawiły to ulewne deszcze, które padały tu przez przeszło 6 tygodni w ostatnim tygodniu niemal bez przerwy, przybierając miejscami, jak np. w *Krzeszowicach*, charakter oberwania się chmury. W piątek dnia 10 bm. woda w Wiśle i we wszystkich jej dopływach nagle zaczęła wzbierać. W sobotę wylała szeroko po obu stronach koryta swego a w niedzielę prawdziwem morzem pokryła wszystkie doliny porzecza. Kraków sam ucierpiał najbardziej od wylewu *Rudawy*, rzeczki, która w normalnych czasach nie jest o wiele szersza, jak jaki strumień polny. Tu zemściła się znów srogo niedbałość naszych władz miejskich i krajowych. Zwlekano z uregulowaniem tej rzeczki, aż doczekano się strasznej katastrofy.

W Krakowie zalane były wszystkie położone niżej w jej pobliżu ulice, mianowicie Wolska, Felicyanek, Zwierzyniecka, Retoryka, Smoleńska, Czarnowiejska i wiele innych. W niektórych woda stała na dwa metry głęboko. Zalany został również cały park Dr. *Jordana*, a od ulicy Straszewskiego woda wdzierała się już *na planty*. Z bastyonów Wawelu przedstawiało się oczom jedno wielkie morze, sięgające od bram miasta aż pod kopiec Kościuszki i hen daleko ku zachodowi.

Powódź nastąpiła tak szybko, że mieszkańcy porzecza nie zdołali nic zgoła ocalić prócz nagiego nieraz życia. Straty w płodach ziemnych, inwentarzu i budynkach dochodzą conajmniej do miliona koron. Wylew objął bowiem całą dolinę Wisły aż do Oświecimia i Szczucina oraz porzecza wszystkich jej dopływów. Dziś, w poniedziałek — woda opadła znacznie — lecz znów deszcz pada — i podobno — jeźli rychło nie ustanie wylew powtórzyć się może. Strach pomyśleć, jaka bieda i nędza czeka mieszkańców tej części Galicyi!

W Podgórzu, mieście położonem naprzeciw Krakowa po drugiej stronie Wisły woda zalała również część Rynku i kilka ulic. Dziś zapadło się tam kilka domów.

Całe społeczeństwo nasze składa się dziś na ulżenie niedoli dotkniętej powodzią ludności. Może i wy, bracia Wielkopolanie, dorzucicie do tego kilka groszy wdowich!

Wielkopolanin w Krakowie.

Nowy marszałek krajowy

Lwów, w lipcu 1903.

Właściwie — możnaby powinszować Galicyi... Ma bowiem teraz znowu na czele *obu* władz administracyjnych: *rządowej i autonomicznej*, mężów, którym nawet ich przeciwnicy polityczni nie odmawiają energii, zdolności administracyjnych, rozumu, sumiennego wypełniania obowiązków i szczerej chęci służenia krajowi i społeczeństwu. Taka „dwójka“, jaką stanowią hr. *Andrzej Potocki* jako namiestnik i nowy marszałek krajowy hr. *Stanisław Badeni* w normalnych stosunkach napewno zdziałałaby dużo dobrego dla kraju. Co zdziałać zdoła w smutnych, wyjątkowych stosunkach Galicyi, — tego dziś jeszcze przesądzić nie można. Bądźmy zadowoleni, że jest, że stoi na czele kraju i że zabiera się ochotnie do pracy...

Nazywamy hr. Badeniego „*nowym*“ marszałkiem, bo otrzymał nominacyą na ten urząd dopiero przed dwoma tygodniami, chociaż w rzeczywistości *nie jest on nowym*. Piastował przecie tę godność już przez lat kilka, a złożył ją dopiero przed półtora rokiem.

Co go wówczas do tego kroku skłoniło — o tem różni różnie mówią; najprawdopodobniej brzmi wersya, że głównym motywem jego ustąpienia był zatarg z własnem stronnictwem, konserwatywnem. Cały sejm wówczas prosił go, aby pozostał, lecz daremnie. Żegnano go z żalem, bo najzupełniej na to zasługiwał. Że powróci kiedyś na to stanowisko, albo na krzesło namiestnika, o tem nie wielu tylko wątpiło. Z chwilą dziś, gdy hrabia Andrzej Potocki mianowany został namiestnikiem i godność marszałka znów zawakowała, wiedziano już niemal napewno, że przypadnie ona ponownie w udziale hr. Badeniemu. Obu tych panów łączy bowiem ścisła przyjaźń osobista; łatwo więc można się było domyślać, że hr. Potocki postara się o to, aby właśnie tego przyjaciela, a wypróbowanego administratora dano mu za współpracownika. Przez chwilę mówiono wprawdzie wówczas także o hr. *Stadnickim* — ale tylko przez chwilę.

Cóż wam powiedzieć o nowym, a raczej „ponownym“ marszałku krajowym? Postać to znana u nas i bardzo popularna nawet. Dość wskazać, że

jest — Badenim, że posiada wszelkie zalety tej rodziny. Niektórzy twierdzą nawet, że jest najwybitniejszym jej członkiem, że np. hr. Kazimierz, były namiestnik i były prezes rządu austryackiego w najważniejszych sprawach stosował się do jego rad i wskazówek. Typ szlachcica polskiego — a głowa jasna i mądra. Posiada on aż dwa doktoraty — z filozofii i prawa. Charakter nieposzlakowany; skromny i uprzejmy w obejściu, bez względu na to, czy ma przed sobą arystokratę, czy najczerwieńszego demokratę. To chyba wystarczy dla poznania go — jako człowieka.

To też jego nominacyą przyjęła cała Galicya — z małemi wyjątkami — z *zadowoleniem.* Przytoczymy tu trzy głosy powitalne — najznamienniejsze.

„Od przeszło dwudziestu lat — pisał konserwatywny krakowski „*Czas*“ zajmuje hr. *Badeni* w naszem życiu publicznem wybitne miejsce. Pisząc o nim, gdy po raz wtóry obejmuje kierownictwo Wydziału krajowego i staje na czele sejmu, nie wyrażamy też nadziei tylko i przypuszczeń, lecz na tem stanowisku witamy w nim siłę znakomitą i doświadczoną. Podnosiliśmy zawsze wielką pracowitość marszałka Badeniego, dar obejmowania całokształtu spraw, wielką trzeźwość i zmysł gospodarski w sprawach finansowych. Wielkie to i cenne przymioty. Całemu jego działaniu przyświecała myśl patryotyczna zrównania zupełnego ciężarów publicznych i podźwignienia najszerszych warstw naszego społeczeństwa.“

Organ drugiego naszego obozu konserwatywnego — „Podolaków“ — lwowska „*Gazeta Narodowa*“ takiem „uczciła“ go powitaniem:

„Hr. Badeni przeszedł wszelkie stopnie, dające mu kwalifikacyą na dobrego administratora. Jako dawny urzędnik sądowy posiada prawniczą ścisłość; znana mu też jest formalna strona administracyi. Jako były członek Rady szkólnej krajowej jest niepospolitym znawcą szkolnictwa. Jako jeden z najlepszych marszałków powiatowych zna na wskroś zalety i wady powiatowej naszej autonomii. Jako wzorowy gospodarz obeznany z położeniem rolnictwa. A jako *były* marszałek krajowy znajdzie się i w wydziale krajowym, jak w domu. We *Wiedniu* posiada również wpływ nader doniosły. Nie wątpimy też, że w każdej sprawie krajowej znajdzie Koło polskie w tym wpływie marszałka kraju silne poparcie.“

Demokratyczna „*Nowa Reforma,*“ najpoważniejszy dziś organ tego kierunku, takie zajęła względem hr. Badeniego stanowisko:

„Wobec smutnego faktu, że z poza partyi konserwatywnej nie dopuszczonoby dzisiaj nikogo do godności marszałka krajowego, uważamy wybór ponowny hr. St. Badeniego *za korzystny* dla kraju. Z pomiędzy ludzi, którzy o tę godność kompetowali, on *najwięcej na nią zasługiwał* z tytułu swej przeszłości, pracy rzetelnej, talentu i zalet osobistego charakteru. Nie odmawiamy mu tych przymiotów, pomimo że do naszego obozu politycznego się nie zalicza.“

Co więcej — powitali go życzliwie nawet *Rusini* — naturalnie z wyjątkiem nieprzejednanych, — znając jego bezstronność i rozumną sprawiedliwość w sporach narodowościowych.

Sądzić więc wypadało, że mężowi tej miary *wszyscy,* którzy tak uznają jego zalety z *całem zaufaniem* zdadzą rządy antomiczne i polegać będą — przynajmniej w początkach — wyłącznie na *jego* decyzyach. U nas atoli w Galicyi — inaczej się dzieje. U nas nawet takiego uznania *nie daje się darmo.* Zaraz też po nominacyi i po tem powitaniu oba nasze stronnictwa konserwatywne przystąpiły do nowego marszałka z rekryminacyami i żądaniami stronniczemi. Konserwatyści krakowscy przypomnieli mu, że podczas poprzedniego urzędowania *zanadto* „kokietował“ z *demokratami,* że nawet — „horribile dictu“ — wierzył *w ich dobrą wolę!* głównie zaś, że sprzeciwiał się proponowanej przez konserwatystów *reformie administracyjnej,* która miała rządy kraju przez przeistoczenie *gmin* bardziej jeszcze oddać w ich ręce. Mamy też nadzieję — pisze organ tego stronnictwa „*Czas*“ — że hr. *Badeni* teraz inaczej się na te sprawy zapatrywać oraz inaczej działać będzie. „Podolacy“ znów nie zapomnieli mu jeszcze jego bezstronności względem *Rusinów.* Organ tego stronnictwa, zacytowana już poprzednio „*Gazeta Narodowa*“, przytoczyła nawet w powitalnym artykule słowa hr. Badeniego, wypowiedziane czasu swego w sejmie, gdy mówiono, że stosunki między *Polakami a Rusinami same* się ułożyć muszą. „Ja tego zdania nie podzielam — powiedział wówczas marszałek — nie podzielam — tem bardziej, że wynalezienie drogi, na której porozumienie lub choćby złagodzenie stosunków było możliwem *nie wydaje mi się tak trudne.*“

Otóż — rozumuje teraz organ „Podolaków“ — ostatnie wypadki wykazały, że drogi takiej wynaleść niepodobna. A więc — konkluduje dalej — nowy marszałek winien wyrzec się swych iluzyi i postępować wobec Rusinów *tak, jak mu wskaże — stronnictwa podolskie.*

Przyznać trzeba, że właśnie ludzie, którym „Czas“ krakowski odmawia nawet dobrej woli — *demokraci* — w tym wypadku okazali najwięcej taktu i przyzwoitości politycznej. Nie nagabywali nowego marszałka zaraz od pierwszego dnia specyalnemi swemi postulatami, i dopiero w odpowiedzi na te „dobre rady“ konserwatystów zaznaczyli swoje stanowisko.

Bądź jak bądź, już z tych krótkich cytatów poznacie, jak trudnem będzie stanowisko nowego marszałka także podczas ponownego jego urzędowania. Gdy go jedni gwałtem ciągną w prawo, drudzy w lewo, inni znów wstecz — już wielką jego zasługą będzie, jeżli wśród tej walki stronnictw w administracyi autonomicznej przywróci *należyty ład i porządek.* Więcej trudno się po nim spodziewać.

Galicyanin.

Z TYGODNIA.

Ubiegły tydzień nie przyniósł stroskanej rzeszy ludów katolickich upragnionego cudu: ocalenia drogiego żywota Leona XIII, chociaż cudem już nazwać można, że ten sędziwy starzec tak długo opiera się ciężkiej chorobie, że zachodzą w niej chwile, w których nowa nadzieja ogarnie wszystkich, nawet pesymistycznie usposobionych lekarzy. Dokonali oni na osobie dostojnego chorego dwukrotnie operacyi wypuszczenia z jego klatki piersiowej gromadzącego się tam ropnego płynu z dobrym skutkiem, czynią wogóle wszystko, na co zdobyć się może sztuka lekarska, ażeby zmniejszyć cierpienia chorego i zapobiedz rozwiązaniu. Oprócz dr. *Lapponiego i Mazzoniego,* przybocznych lekarzy Papieża, powołano do jego łoża jeszcze znakomitego profesora rzymskiego *Rossoniego.* Dziś jednakże jeszcze nie można przewidzieć, czy ich zabiegi odniosą tak upragniony przez cały świat katolicki skutek? I dziś jeszcze wszystko zależy od nadzwyczajnego zbiegu okoliczności, od *cudu* niemal....

Choroba Leona XIII budzi wciąż jeszcze ogromne zajęcie także w *niekatolickich* krajach, państwach i społeczeństwach. Nawet *schizmatyccy patryarchowie* z Wschodu przesłali do Watykanu telegraficznie zapytania o stan zdrowia Leona XIII i serdeczne życzenia, aby wyzdrowiał. To samo uczynili *sułtan turecki,* car rosyjski i

wszyscy protestanccy monarchowie. Prasa zaś wszystkich narodów, wyznań i kierunków politycznych zapisuje skrzętnie każdy, chociażby najdrobniejszy szczegół z przebiegu choroby i towarzyszących jej wypadków i okoliczności. I okazało się znowu, że ten Władzca dusz katolickich, nie posiadający państwa świeckiego, ani armat lub bagnetów potężniejszym być musi od wszystkich innych władzców koronowanych i niekoronowanych, że bardziej się nim interesuje opinia świata, niż jakimkolwiek innym królem lub cesarzem.

Dla nas katolików wielka to satysfakcya i pociecha!

Z powodu choroby *Leona XIII* monarcha *włoski*, król *Wiktor Emanuel* odroczył wyjazd swój do *Paryża*. Nawet w usposobionych wrogo względem Stolicy św. włoskich sferach rządowych zrozumiano, że byłby to widok nie piękny, nawet wręcz gorszący, gdyby w chwili, w której cały świat katolicki przejęty jest wielkim smutkiem, a w skromnej komnacie Watykanu Leon XIII toczy walkę z śmiercią, odbywały się w Paryżu huczne przyjęcia i festyny.

Prezydent *Francyi Loubet* zgodził się podobno chętnie na to odroczenie wizyty włoskiej, chociaż zapowiadała ona Francyi nowy tryumf polityczny. Loubet w końcu ubiegłego tygodnia wrócił z *Anglii*, gdzie w *Londynie* rewizytował króla *Edwarda VII*. Podróż ta wywołała wielkie zainteresowanie w świecie politycznym, a nawet mmnóstwo bardzo śmiałych kombinacyi. Fakt że prezydentowi Francyi towarzyszył minister spraw zagranicznych *Delcasse*, nadawał jej z góry charakter wysoce polityczny. Entuzyazm zaś z jakim witały gości francuskich nietylko urzędowe sfery angielskie, ale cała ludność Londynu i Anglii wogóle zdają się przemawiać za tem, że rzeczywiście między temi dwoma państwami nastąpiło ścisłe zbliżenie, jeżli nie wprost porozumienie i pewnego rodzaju przymierze w wielu ważnych sprawach. Pojawiły się nawet głosy, które zapowiadają, że *Francya* wycofa się z sojuszu z *Rosyą*, a wraz z *Anglią* i *Włochami* utworzą nową koalicyą, zwróconą niejako przeciwko *Rosyi*. Notujemy tę kombinacyą z obowiązku kronikarskiego, nie przywięzując do niej jednakże większego znaczenia.

To tylko jest faktem, że *Anglia* potrzebuje dziś sprzymierzeńców, ponieważ jej stosunki do *Rosyi* zaczynają się pogarszać. Tam daleko, na *azyatyckim wschodzie* zanosi się znów na zawieruchę wojenną. Gospodarka rosyjska w *Mandżuryi* a nawet w niezależnej jeszcze de nonime *Korei* — niepokoi *Japonią*, jak wiadomo od roku związaną z *Anglią* przymierzem, a szkodzi interesom *Anglii*. Słychać też tam już głośne groźby wojenne, a także obecność w tych stronach rosyjskiego ministra wojny Kuropatkina i bezustanna wysyłka wojsk rosyjskich na wschód azyatycki nie wróżą dobrze.

Cesarz *Wilhelm* podejmował przed tygodniem w Kilonii eskadrę wojenną *Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej* i okazywał gościom swoim wielką przychylność. Prasa niemiecka zaś wygłasza już prawdziwe peany na przyjaźń niemiecko-amerykańską. Niemcy uchodzą za trzeźwych a jednak się łudzą. Ani serdeczności kilońskie, ani inne względy nie zrobią z Amerykanów przyjaciół Niemców, nie osięgną nawet tego, aby Ameryka — postawiła na publicznym placu spoczywający od dwóch lat w śpichrzu waszyngtońskim pomnik *Fryderyka II*...

K. O.

Przegląd prasy.

Secesya Kulerszczyków w okręgu tucholsko-chojnickim przy wyborach z dnia 10 b. m. spotkała się z krytyką wszystkich pism zachodnio-pruskich z wyjątkiem „Gaz. Grudziądzkiej“. „*Gaz. Toruńska*“ przepowiada, że „jeżli rozdarcie to uwydatni się ujemnie w naszem życiu towarzyskiem (?) i ekonomicznem (?) to niemniej szkodliwem ono będzie pod względem narodowościowym (?).“ „Gaz. Toruńska“, obawiając się niesłusznie że nastąpi rozkład i upadek, tak pisze:

„Zważmy to jedno, że gdy przy wyborach na delegatów, jakie się wkrótce odbędą, przejdzie większość stronników „Gazety Grudziądzkiej“ i później ta większość delegatów będzie według swojego przekonania i sumienia stawiała kandydatów, to przeciwnicy jej mogą się odwołać na Chojnice i Tucholę i głosować na upatrzonych przez siebie ludzi, albo nie głosować wcale, cóż dziwnego, gdy powiedzą: Jeżeli dziś zwolennicy „Gaz. Grudz.“ nie słuchają naszej władzy wyborczej, to jutro mogą jej nie słuchać zwolennicy „Pielgrzyma“, pojutrze „Gaz. Gdańskiej“ itd.“

Nie dzielimy obaw „Gazety Toruńskiej“, bo nie przypuszczamy, aby po odebranej lekcyi późniejszy zjazd delegatów odważył się narzucać jakiemu okręgowi niepopularnego kandydata i lekceważyć sobie życzenia większości wyborców.

Cała prasa poznańska, z wyjątkiem „Wielkopolanina“ i dwóch ugrzęzłych w swej słynnej powadze „Poznańskich,“ stanęła po stronie kandydata *ludowego*. Nawet „*Dzien. Pozn.*“ zachwiał się w swym antogonizmie, pisząc:

„I nam się zdawało, „że *wybór p. Kulerskiego w niczemby sprawy naszej nie pogorszył*, ale skoro naczelna władza inaczej osądziła, znając stosunki z bliska, trzeba jej słuchać, a jeżeli zbłądziła odmienić ją następnie, ale gdy dzierzy władzę, powaga jej powinna pozostać niezachwianą.“

„*Kur. Pozn.*“ tak pisze:

„Nastąpiło to, czegośmy się z góry obawiali; zwolennicy p. Kulerskiego zrywają solidarność.

„Wczoraj jeszcze radził „Dziennik Berliński“, aby wyborcy chojnicko-tucholscy, „choć z ciężkiem sercem“, głosowali na narzuconego „im nielojalnie“ (!) kandydata, p. Stanisława Sikorskiego. „Ale po wyborach niechaj komitety tucholski i chojnicki zwołują walne zebrania powiatowe i na nich narzuconemu wyborcom kandydatowi wyrażą wotum niezaufania, aby go przez to spowodować do złożenia mandatu.“ My nawet idziemy tu dalej: Jeżeli z woli ogółu wybrani delegaci są rzeczywiście zaprzeczeniem a nie wyrazem tejże woli, to niech się ogół postara o to, aby delegaci złożyli swoje mandaty.“

A zatem nawet te dwa organy nie mogą zaprzeczyć, że postępowanie delegatów nie było poprawnem. Doskonałą naukę daje tym pismom warszawska „*Gazeta Polska*“:

„*Mandaty rozdaje lud, a nie żaden komitet; ludowi też przysługuje decyzya*, a wszelkie komitety i zebrania delegatów są tylko organami tego ludu i muszą zastosowywać się do jego woli, a nie wolno im rządzić się według swego widzimisię, lub co gorsza, według swojej nienawiści.

„Samowola, z jaką mianowało kandydata zebranie delegatów, jest w warunkach istniejących nietylko *bezprawiem, ale i zbrodnią*. Instytucya powołana do tego, aby czuwać nad prawidłowością wyborów i organizować lud do walki o mandat polski, prowokuje ten lud, wywołuje w nim przez swe bezprawne postępowanie uzasadnione protesty, popycha go do dezorganizacyi, do oporu, naraża społeczeństwo na rozbicie się głosów polskich w okręgu chojnicko-tucholskim, a może wprost na utratę mandatu. Jakżeż ta władza wyborcza ma teraz wzywać wyborców do wypełnienia obowiązku solidarności, gdy sama w sposób urągający wszelkim pojęciom o uczciwości, *wyłamała się ze swego obowiązku idąc za popędem swej nienawiści?*“

Nie tylko na delegatów, ale na przewodniczącego komitetu centralnego p. Leona *Czarlińskiego* posypały się gromy. I tak piszą z Bydgoszczy do „*Gońca Wielk.*“

„Pogwałcenie woli większości wyborców przez komitet centralny pokazuje, jak szkodliwe częstokroć jest działanie duchowieństwa w sprawach politycznych.

„Wobec stosunków w Zachodnich Prusach i stanowiska tamtejszego duchowieństwa z góry można było się obawiać, że przeważający w centralnym komitecie i zjeździe delegatów wpływ księży posunie się aż do bezprawia.

„Ale byli tacy, którzy wierzyli w znaczenie i wpływ przewodniczącego komitetu, pana posła Leona Czarlińskiego, i zapewniali, że ten mąż prawdziwie i szczerze postępowo i narodowo usposobiony nie pozwoli na takie pogwałcenie opinii powszechnej. A cóż się stało?

„Oto to, czego się obawiano, a pan Leon Czarliński, poseł ludowców, usankcyonował postępowanie to, przewodnicząc temu zjazdowi i solidaryzując się z uchwałą jego.

„Pomimo, że kilku delegatów złożyło swój urząd, on dalej swój urząd przewodniczącego piastuje w komitecie, który pogwałcił prawa ludu."

„Górnoślązak" idzie tak daleko, że nazywa posła Czarlińskiego „pierwszym winowajcą" i głównym „sprawcą secesyi, bo zezwolił na bezprawie" wywody swe kończy temi słowy:

„Nie komitet ludowy wyłamuje się z pod polskiej organizacyi wyborczej, tylko walne zebranie delegatów wyłamało się z pod tej władzy, przekraczając swawolnie istniejące przepisy prawne i gwałcąc wolę ludu. Nie partya ludowa urządza secesyę w okręgu tucholsko-chojnickim, bo ona stoi wiernie na gruncie regulaminu wyborczego, ale urządza secesyę Koło delegatów z swym przewodniczącym na czele, na nich więc i tylko na nich spadnie odpowiedzialność, gdyby w tym okręgu przypadkiem zwyciężyć miał Niemiec."

W wyborach, o których mowa zwyył — *pan Kulerski* zwyciężyła wola ludu, a komitetowi i delegatom dostała się odprawa, która — jak to mówią — powinna im pójść w pięty.

Według urzędowego zestawienia otrzymał *p. Kulerski 6024 głosy, Sikorski 2959,* konserwatysta Aly 2670, Bönig centrowiec 110, socyalista 91, a rozstrzelonych było 66. Razem zatem padło na wszystkich kandydatów 11,920 głosów. P. Kulerski otrzymał ponad absolutną większość 64 głosy.

Ruch społeczno - chrześciański rozbudził ważną sprawę *polskiego związku zawodowego* przez to, że wydał hasło księżom pracującym w stowarzyszeniach robotniczych, by zalecali robotnikom niemiecki związek chrześcijański. Z tego powodu przyszło do narady pomiędzy kilku księżmi, a związkiem polskim, na której jeden z mówców zwalczających ów związek chrześciański bardzo trafnie scharakteryzował *strejk stolarski* w Poznaniu pod wodzą tegoż związku chrześciańskiego. Jak pisze *„Goniec W.,"* zaznaczył on, że „kierowali nim ludzie nie znający naszych stosunków."

„Strejk ten nie był zwrócony przeciwko kapitalistom meblarzom, lecz przeciwko drobnym majstrom, którzy sami tak mało zarabiają, że ledwo wyżyć mogą i którym grozi ruina. Tych należało przed strejkiem zorganizować, a nie pchać w nieszczęście. Dziś panuje ogólna nędza, płacz, lombardy przepełnione zostały ostatnią chudobą, a wszystkiemu temu winien nieszczęsny strejk przez obcą wywołany organizacyą, której nie chodziło o dobro robotnika polskiego, lecz jedynie o kaptowanie sobie członków ku własnej korzyści."

W tej sprawie czytamy w *„Orędowniku:"*

„W najbliższym czasie zwołany zostanie wiec, na którym robotnicy sami zajmą stanowisko wobec księży polecających związki niemieckie. Ubolewamy nad tem, że duchowieństwo związkowi zawodowemu polskiemu jest wrogie. Gdyby nawet tak było, jak księża twierdzą i gdyby związek chrześcijański obecnie dawał robotnikowi większe od polskiego korzyści, *co jeszcze bynajmniej pewnem nie jest,* to obecnie stosunki są takie, że wszelkie popychanie ludu polskiego w objęcia germanizacyi *jak najsurowiej zganić wypada.* A takiem dobrowolnem germanizowaniem jest bezwarunkowo przynależność robotników do związków chrześcijańskich, choćby one na początek nie wiem jakie gwarantowały Polakom swobody.

„Żaden Niemiec dla Polaka nie uczyni nic, jeżeli sam się przy tem nie obłowi. Wiedzą o tem dobrze ci Niemcy, którym chodzi o pozyskanie dobrze płacących a mało potrzebujących robotników polskich, których potrafią się pozbyć delikatnie, gdy im ich już nie będzie potrzeba. Jeżeli wobec dziś panujących stosunków, jakieś towarzystwo niemieckie ofiaruje Polakom ustępstwa na polu językowem, to już ten sam fakt *powinien budzić podejrzenia.* Obecnie cała nasza nadzieja w ludzie, który zapewne sam pozna, kto mu będzie milszym bratem Niemiec, czy Polak."

Nasze „poważne" gazety nie piszą nic o tej ważnej sprawie.

Z powodu krucyaty *ks. kard. Koppa* przeciw Polakom przypomina krakowska *„Nowa Reforma,"* że księstwo Cieszyńskie należy do dyecezyi wrocławskiej i jest pod władzą tego germanizatora.

„Byłby czas najwyższy — pisze „N. Ref." — aby Koło polskie, na podstawie najnowszych faktów się opierając, zażądało w sposób stanowczy, w myśl jednozgodnej opinii całego kraju, rozdziału dyecezyi wrocławskiej i uwolnienia przynajmniej Księstwa Cieszyńskiego od hakatystycznego naporu, mającego swoje źródło w biskupiej stolicy wrocławskiej. Te sprawe raz wreszcie trzeba załatwić ustawowo; *to obowiązek sumienia naszych posłów."*

Niestety Galicya patrzy dość obojętnem okiem na to, co się dzieje na Śląsku austryackim!

Antypolska działalność ks. kard. Koppa przyczyniła się znacznie do tego, że musimy stosunek nasz do *centrum* poddać krytycznej rewizyi i uświadomić sobie, że *największe* niebezpieczeństwo zagraża Polakom ze strony niemieckich katolików. *„Orędownik"* pisząc o tym stosunku przychodzi do następujących wniosków:

„I. W interesie naszego narodu leży, abyśmy *umieli wszyscy rozróżniać pojęcia Polak i katolik.*

„II. Przy wyborach miarodawczą jest dla nas zasada: *Polak wybiera Polaka!*

„III. W jednym tylko razie winniśmy głosować na centrowca i to za poprzedniem porozumieniem się — t. j. jeżeli nie zachodzi pewność, że z naszej winy zwycięży wróg Kościoła katolickiego.

„IV. Aby raz uregulować nasz stosunek do Niemców-katolików, a naszej polityce nadać siły powagi, należy utworzyć *Centralny Komitet wyborczy na całe Niemcy."*

Znowu szmat polskiej ziemi dostał się w ręce niemieckie! P. Antoni *Dembiński* zamienił swoją wieś rycerską Wolę w pow. strzelińskim obejmującą 1500 mórg na folwarczek 300 morgowy: Krusza duchowna, należący dotąd do p. Senftenmeyera.

Bardzo trafnie i słusznie pisze pewien „gospodarz kujawski", członek kółka rolniczego o tej transakcyi wicepatrona kółek rolniczych do *„Dzien. Pozn."*:

„Sprawdza się tutaj stare przysłowie polskie: Zamienił stryjek, dostał za siekierkę kijek." A tu najmniejszej potrzeby nie było, żeby w obce ręce sprzedawać tę majętność. Do koła Woli są cztery wsie gospodarcze, gdzie są ludzie, coby kupili ziemię polską i to nie 1500, lecz dwa razy tyle mórg. *Do parcelacyi Woli stanęłoby nas Kujawiaków 100 do 200 chłopa i dałoby tę samą cenę, co obcy.*

„Niedawno zamierzał inny pan rozparcelować swoją wieś i na termin parcelacyjny *stanęło tyle Kujawiaków, że ziemi brakło.*

„Krzywda ze strony wicepatrona Kółek rolniczych na Kujawy, stała się wielką i niepowetowaną, którą chyba Pan Bóg mu wybaczy, bo gospodarze kujawscy słysząc wspaniałe słowa jego na walnem zebraniu Kółek w Kruszwicy w niedzielę, a dzisiejsze jego czyny widząc, nie mają dalszego zaufania do niego."

Cóż może pomyśleć sobie lud nasz o obywatelu i to wicepatronie kółek rolniczych, który na zebraniach częstuje lud morałami i naukami a ziemię oddaje Niemcowi? Szumne frazesy

i zdawkowe nauki poczytać musi każdy poprostu za *blagę* z pomocą której tylko wśród półgłówków można dobić się jakiego słomianego znaczenia. Kazania na temat oszczędności, z któremi zawsze jeszcze występują wodzireje na kółkach rolniczych, są tem śmieszniejsze, że nie panowie chłopom, ale chłop panom mógłby prawić na temat oszczędności. Ile takie obłudne kazania warte okazuje się w tym wypadku! Dobrze, że lud nasz jest tyle dojrzałym, by poznać się na farbowanych lisach. Jakżeż wobec takich wypadków mogą oczekiwać obywatele, aby lud darzył ich zaufaniem?

Przez tę transakcyę p. Dembiński nietylko zdemaskował się i ujawnił całą nicość swych „wspaniałych" morałów, ale odstręcza lud od kółek rólniczych, za co nie będzie mu wdzięcznym ani szan. patron, ani inni gorliwi i poważni pracownicy na tej niwie.

Red.

Głosy od Przyjaciół.

Z pod *Koethen* (Anhalt) 6 lipca.

Czytałem w „Pracy" list z *Bitterfeldu*, gdzie swego czasu pracowałem jak stary lis w jamach bitterfeldzkich. i mogę też jedno powiedzieć o położeniu Polaków tamże. Przed szesnastu laty był tam proboszczem ks. dr. Baeseler z Delitscha. Gdy pierwszy z Polaków ś. p. *M. Nowak* (rodem z Siemianowic na G. Slązku) porzucił „Kath. Männer-verein" i założył polskie stowarzyszenie, doznawał różnych przykrości od tego księdza a jeszcze więcej, gdy dopominał się o polski śpiew podczas mszy świętej. Germanizatorowie chcieli go pozbawić chleba i opisali go do rejencyi w Merseburgu jako człowieka, który ludzi polszczy. Ale nie wiele mu to zaszkodziło, bo on zawsze starał się o pozwoleństwo władzy.

Po śmierci ks. dr. Baeselera nastały lepsze czasy. Przybył ks. Franciszek Düffel, który pogodził towarzystwo. Pozyskał w krótkim czasie serca wszystkich parafian. Miał też z tego korzyść, bo gdy począł budować kościół, *Polacy naturalnie cegły znosili a teraz w tym kościele grozi się piekłem tym, co należą do polskich towarzystw i czytają polskie gazety. A właśnie ci czytelnicy polskich gazet chodzili co niedzielę po domach i żebrali o pieniądze na budowę kościoła. Niech to Polacy w Bitterfeldzie powiedzą obecnemu proboszczowi i pokażą mu ten numer „Pracy,"* w którym to co piszę, będzie drukowana.

Nie zrozumiałem ich o co chodzi tym panom germanizatorom. Jeżli o zbawienie dusz, to zamiast pytać się, jakim językiem kto mówi, niech zwrócą uwagę na swych rodaków, którzy nic sobie z kościoła nie robią i powiadają: ich will von den Pfaffen nichts wissen. My Polacy nie pragniemy od duszpasterzy nic więcej, by w zrozumiałym nam języku pełnili swe obowiązki w kościele. Z tego oni cieszyć się powinni a nie odpychać nas. Ale wszystko ma swój koniec. Przyjdzie pewnie niedługo czas, gdy księża germanizatorzy doczekają się owoców swej roboty, gdy ten potulny i pobożny lud polski, co nawet policzki uliczne od księdza germanizatora znosi cierpliwie, wreszcie zmądrzeje i powie: Hola, wilku w owczej skórze, dosyć tego!

My tu zamieszkali w okolicy *Koethen* dostaliśmy także od ks. kapelana do zrozumienia, że nie mamy czytać pism polskich. Ks. kapelan za oczy nieładnie mówi o Polakach, ale w oczy jest ostrożny, *bo potrzebuje naszej pomocy i poparcia* przy założeniu dwóch nowych gmin misyjnych. Lepiej byłoby więc, gdyby Polacy tę pomoc obrócili na polskie towarzystwo, na zakupienie elementarzy i książeczek ludowych, które można-by wypożyczać lub dawać dzieciom w nagrodę za dobre czytanie polskie i śpiew polski.

W końcu proszę wszystkich dobrze myślących rodaków, aby rozszerzali jaknajwięcej pism polskich na obczyźnie, gdyż to jest nasza szkoła.

W. P.

Bruch (Westfalia) dnia 29 czerwca.

Wyczytałem w nr. 26-tym „Pracy" o sprzedaży Pakosławia. Krew w żyłach stygnie gdy się czyta o takich rzeczach. A mnie to szczególniej bolało, bo żyłem i pracowałem na tej roli. Chciałem też w pierwszej chwili pisać do hr. St. Czarneckiego, aby mu przypomnieć o mej doli gdy byłem na parceli w Grąbkowie po panu Karłowskim, który zastrzelił się z powodu fałszowania weksli.

Znam bowiem. osobiście hrabiów Czarneckich ojca i syna. Służyłem u nich za stelmacha nadwornego i tam przyjrzałem się jak pan polski traktuje lud. Dość wspomnieć o nieboszczyku kucharzu Panwicu, który gdy się zestarzał nędzne miał utrzymanie. Inaczej szło żydom. Żyd Lajb miał zawsze wstęp do dworu i — z biedaka stał się milionerem. Podobnie Sickoski faktor, który tak samo postępuje jak Lajb. Ale Polakowi mores do tego.

Teraz opiszę co zaszło w Gąbkowie odległym od Pakosławia godzinę drogi. Wziąłem tam parcelę około 26 mórg i 2 morgi łąki. Wprawdzie nie miałem wiele pieniędzy do wpłaty, ale inwentarz żywy i martwy. Była to parcela żytem zasiana, ale liche było to żyto, bo ziemia 7 lat mierzwy nie zaznała tylko nawóz sztuczny. Żyta czystego było 90 proc. reszta kąkol. P. Karłowski ręczył, że będzie dwa razy tyle bo — jak mówił — ziemia w dobrej kulturze. Lecz następnego roku nie było lepiej, bo tyle roli wymierzwić nie było podobno. Na to musiałbym mieć parę tysięcy marek. Skoro pan K. odebrał sobie życie, dostał plenipotencyą Gąbkowa hr. St. Czarnecki. Gdy zeszliśmy się z nim w kilku na naradę w Pakosławiu, mówił on nam że p. Goldstein, rządca komisyi kolonizacyjnej, żyd straci swój urząd, bo się zanadto wdawał z Karłowskim. Jeżeli do kamisyi pieniędzy nie dostawi wyleci z urzędu.

Dzierżawcy parceli wpłacili dużo pieniędzy, ale te pieniądze gdzieś się podziały. Krótko potem przyszedł zapis a że byliśmy ciemni, więc zrobiliśmy oprócz renty rządowej jeszcze prywatną rentę, którą należało płacić Spółce ziemskiej. Tym sposobem pewnie pokryły się zagubione pieniądze i Goldstein został na swem stanowisku. Żyd wypłynął — kosztem nas biednych Polaków.

W tych warunkach nie miałem dość pieniędzy na wpłatę, więc prosiłem hrabiego S Czarneckiego o pomoc. Potrzebowałem tylko 500 m. a ręczyłem, że w dwóch latach oddam je z procentem, ale hr. ani słuchać nie chciał. Udałem się nawet do księcia Zdzisława Czartoryskiego, ale ani tam nie miał jego rządca chęci za mnie zaręczyć. Nie chciałem też tego. więc pojechałem do Westfalii raz i drugi z starszym synem jako tako długi odepchnąłem i cośkolwiek upłaciłem. Ale nastał zapis i nie miałem tych 500 m. do złożenia. Napisałem więc z Westfalii do ministra Hammersteina z prośbą a ten mi odpisał, że mogę odpisać dowoli. Cóż jednak z tego! P. hr. S. Czarnecki pisał z gniewem do żony, że jak nie zapłacę, egzekucya nastąpi. Żona poszła do p. hrabiego z prośbą, a on rzekł jej w te słowa: „masz inwentarz to sprzedaj i zapłać, a nie to egzekucya nastąpi." Żona aż zachorowała od strachu. Cóż było robić? Rad nierad pojechałem do domu, posprzedawałem wszystko, uiściłem się z renty, i z całą familią przybyłem tu do Bruchu, bo jakżeż bez inwentarza gospodarować?

Przed tem zapewniałem hrabiego S. Czarneckiego że ja we Westfalii z mymi synami zarobię sobie i wszystko co do grosza oddam, ale hrabia odrzekł

mi, że na dzieci spuszczać się nie można.

Teraz to się dziwnie słyszy! Ja polegałem na moich 8 synach i z ich pomocą dorobiłem się tu tak, że mam własny budynek, wartości 11 tyś. m. choć mam na nim jeszcze 5 tyś. długu. To zarobiliśmy z pracy rąk. A syn p. hrabiego — Leon? Odebrał on piękne wychowanie, a ziemię zmarnował. Moi synowie uczyli się jeno na elementarzu a teraz gazeta polska ich jedyną nauką a nadziei moich nie zawiodli i porządni ludzie. Choćbym chciał wygnać którego z nich, to nie pójdzie bo przywiązany do rodziców. A hr. Leon opuścił rodziców, ziemię Niemcom wydał i poszedł w świat.

Kara Boska! Gdyby hrabia był mi pomógł, nie pisałbym i nie skarżył się w kochanej naszej „Pracy“, ale siedział dalej w Gąbkowie na polskiej ziemi. Bo przez trzy lata gospodarząc miałem już ładne zbiory. Dziś żyję tu dość dobrze i bez kłopotu, ale żałuję tej parceli ze względu na dzieci. Tak jak tu żyję, to one Niemcami *nie będą, ale ich pokolenie? A kto temu winien? Gdyby mi się kupiec trafił, to sprzedam wszystko i wrócę znów na parcelę, bo chciałbym kości me złożyć w ojczyźnie i synów zostawić na polskiej ziemi.*

St. G.

Essen, 30-go czerwca 1903

Głosów polskich przy wyborach w powiecie tutejszym padła pokaźna liczba, ale nie osięgnęliśmy jednakowoż cyfry takiej, jakiej się spodziewaliśmy. Kandydat nasz bowiem pan Józef Chociszewski otrzymał w powiecie esseńskim, z rozstrzelonemi, (które śmiało za nasze uważać możemy, dlatego że w pewnych lokalach uważano głosy polskie, nie wiem z jakich powodów, za rozstrzelone), głosów około 1700. Jest to liczba na powiat esseński dość szczupła, która wykazuje, że rodacy mimo nawoływań władz wyborczych, mimo gorliwej pracy narodowo uświadomionych Polaków, poszli na manowce, bądź to pod płaszcz rzekomego niemieckiego katolicyzmu, bądź też co najgorsza do obozu socyalistów. Rzecz pożałowania godna, ale dziwić się bardzo rodakom nie można; pierwsi głosowali w dobrej myśli za centrowcami; i to dla tego, że ich tutejsi księża do tego namawiali, nie wiedząc przytem, że Kościół w prawdach wiary i obyczajów jest nieomylny, w polityce zaś ksiądz może tak samo błądzić, jak każdy inny człowiek. Drudzy zaś, co poszli z socyalistami, są to ludzie zbłąkani i wogóle niepewni. Cała wina spada na te pisma centrowo polskie w rodzaju „Kuryera“, „Wielkopolanina“, „Lecha“ i inne, które bałamuciły rodaków, w braku poczucia godności narodowej, uważając łaszenie się do Prusaków za zaszczyt dla siebie i buntowały wychodźców przeciw ich prawowitej władzy wyborczej.

Dalej niemniej winni temu i wielebni księża misyonarze, którzy swą niefortunną odezwą, wzywali nas do zerwania naszej solidarności narodowej. I to rzeczywiście zasługuje na naganę. Wiedzieć bowiem trzeba, iż cała akcya wyborcza, a więc też i postawienie własnego kandydata, nie jest to bynajmniej inicyatywą samej tylko władzy, nie jest to bynajmniej dziełem kilku agitatorów kierunku radykalnego, *lecz niezłomną wolą ogółu, wolą ludu*, z kórą każdy bez względu na stanowisku, jakie w społeczeństwie zajmuje, choćby i rozum Salomona posiadał, liczyć się musi, jeśli nie chce się narażać na jakikolwiekbądź zarzut o brak poczucia narodowego. To też odezwy podobne uważaliśmy i uważać będziemy za nierozważne, niewłaściwe i niepolskie, bez względu na to, od kogo wyjdą.

Prócz tego znalazło się pomiędzy mężami zaufania kilku zdrajców, którzy usiłowali mniej uświadomionych rodaków napędzić do obozu wrogów naszych. Wstyd im i hańba! A teraz składamy na tem miejscu serdeczną podziękę, wszystkim pismom szczerze polskim szczerze oddanym ludowi jak „Pracy“, „Wiarusowi“, „Gońcowi“ itd., oraz i wszystkim prawdziwym Polakom, którzy nie szczędzili trudu i zabiegów, i z narażeniem się na różne nieprzyjemności ze strony polakożerców, pracowali wspólnie z nami nad uświadomieniem naszych braci wychodźców w sprawach wyborczych, za co im cześć i sława!

Chcę też jeszcze braci w ojczyźnie powiadomić, w jaki to ohydny sposób Niemcy upośledzają Polaków, z powodu naszej samodzielności przy wyborach. Wszystkie blatty tutejsze, z małemi tylko wyjątkami, (i to zarówno liberalno-masońskie jako też centrowo-hakatystyczne) przepełnione najpodlejszemi kłamstwami i oszczerstwami przeciwko nam na jakie tylko krzyżacka buta zdobyć się może. Nawet i proboszczowie pewnych parafii, jak się z wiarogodnego źródła dowiadujemy *chcą zaprzestać dawania funduszów*, jakie dotychczas dawali w wysokości aż 75 marek (słowami siedmdziesiąt pięć marek) rocznie, *na polską opiekę duchowną*, nie bacząc przytem że Polacy tysiące marek rokrocznie płacą w podatkach kościelnych i składkach na ich zadłużone kościoły.

My tutaj w Essen jesteśmy od pewnego czasu szczęśliwsi; mamy tu bowiem teraz na stałe jak Wam donosiłem, Wielebnego O. Erazma, a więc do Sakramentów św. możemy teraz uczęszczać. Kazania polskie mają się odbywać w każdą pierwszą niedzielę miesiąca o godzinie $^{3}/_{4}$4-tą.

Co do ścisłych wyborów, które się tu odbyły między centrowcem a socyalistą, to my Polacy wstrzymaliśmy się od wyborów stosownie do uchwały władzy wyborczej i to dlatego że centrowcy po nasze głosy się nie zgłosili a więc widocznie ich nie potrzebowali.

Za to w powiatach bochumskim i dortmundzkim gdzie socyaliści przeszli, cała psiarnia gazet tamtejszych szczuje na Polaków, jakoby przy ścisłych wyborach głosowali na socyalistę. Jest to kłamstwem. Szczególnie pisma centrowe „Westfälische Volksztg.“ i „Tremonia,“ które to rzekomo w imię *prawdy* walczą, takiemi kłamstwami się odznaczają. „Tremonia“ i tutejsza „Volksztg.“ wydają od pewnego czasu rzekomo polskie pisma naturalnie w duchu centrowym.

Wobec tego kochani bracia na obczyźnie ostrzegamy Was, *abyście się nie dali łowić na plewy;* od Was bowiem zależy czy te dwa pisma „Górnik“ i „Tremonia“ drukowane po polsku mają istnieć czy nie. Są to pisma na ubicie „Wiarusa Polskiego“ na zabicie *naszego ducha narodowego.* Ludu polski, bracia drodzy nie dajcie się otumanić! Ciężkie wprawdzie dla nas nastały czasy; wrogowie nasi wypowiedzieli nam walkę na życie i śmierć, lecz bądźmy o to spokojni, pamiętajmy zawsze o tem, że Bóg czuwa nad nami i że bez jego woli włos nam z głowy nie spadnie. Miejmy też nadzieję, że Bóg zmiłuje się nad losem naszym i zgotuje nam lepszą przyszłość.

M. S.



OJCIEC ŚW. LEON XIII.

Dział illustrowany.

Z WATYKANU.

Konklawe.

Wobec przygniatającej Leona XIII. potęgi śmierci, przed którą Wielki Papież broni się z siłą niezwykłą, najważniejszą jest dziś kwestyą, gdzie się odbędzie konklawe. W roku 1878 było dość silne stronnictwo kardynałów, które głosowało, ażeby odbyło się po za granicami Włoch; tymczasem większość oświadczyła się za Rzymem, gdzie też konklawe odbyło się zupełnie spokojnie i bez przeszkód. Wobec takiego precedensu nie ulega kwestyi, że przyszłe konklawe odbędzie się w Rzymie; w czasie narad dotychczasowych tylko kilku kardynałów oświadczyło się przeciwko Rzymowi.

Korespondent rzymski „*N. Fr. Presse*" zaprzecza podawanym wiadomościom, jakoby odbywały się zgromadzenia grup kardynałów, które naradzają się nad wyborem nowego Papieża. Poniedziałkowe n. p. zgromadzenie w mieszkaniu kard. Gotti'ego było zwykłem tygodniowem posiedzeniem kongregacyi propagandy. Nieprawdą jest również, jakoby na tem posiedzeniu był obecny ambasador francuzki przy Watykanie. Mocarstwa obracają się w ciemnościach w stosunku do przyszłego konklawe. Nie są między sobą ani zgodne, ani niezgodne i nie mają ani celu praktycznego, ani jakichś mniej więcej określonych zamiarów. Stosuje się to zarówno do trój jak i do dwuprzymierza, do mocarstw szczerze katolickich, jak i do antypolskich. Nieprawdą jest dalej, jakoby w św. kollegium był kandydat większości i kandydat mniejszości. Natomiast jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że przyszłe konklawe będzie trwało znacznie dłużej niż poprzednie.

Wszyscy kardynałowie włoscy przybyli już do Rzymu, z wyjątkiem arcybiskupa Medyolanu Ferrari'ego, który jeszcze urządza swoje sprawy dyecezyalne. Jest on bardzo ambitny; wyrażał się nieraz o wielkich zadaniach gospodarczych i społecznych Włoch i o bezużyteczności wszelkiej polityki, która zbyt ściśle trzyma się przeszłości; jest twórcą dzieła kongresów katolickich i uważa je za najważniejszy oręż w walce z socyalizmem.



LEON XIII.

Znaczenie jego w kuryi jest nieznaczne.

Kard. Serafino Vanutelli zrzekł się wszelkich zamiarów, brat jego Wincenty także nie może być brany pod uwagę.

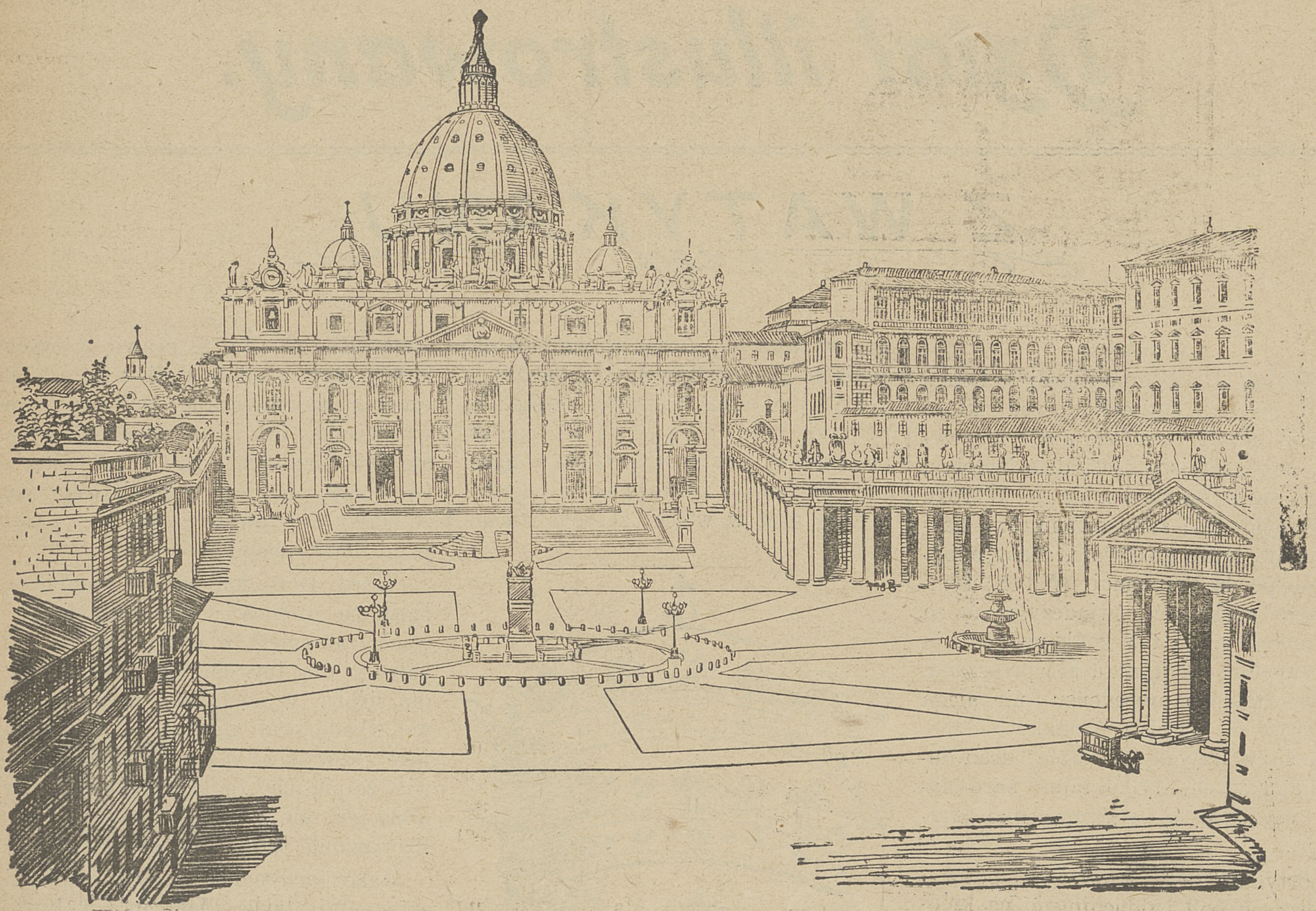
Potężne jest stanowisko kardynała Rampolli przez to, że prawie wszyscy kardynałowie, mianowani w ostatnich czasach, zawdzięczają purpurę jego wpływowi. Jest ich około dwudziestu, ale przeciwnikami są kardynałowie francuzcy, co jest tem dziwniejsze, że znany był zawsze z wielkiej przyjaźni dla Francyi.

Kard. Gotti ma wielkie ambicye, ogromne zdolności; oszczędny w słowach, zamknięty w sobie, jest bardzo surowy dla innych, ale najsurowszy dla siebie. Z poglądami politycznemi nie występował nigdy. Odosobnienie jego i szorstkość w postępowaniu sprawia, że nie ma zgoła przyjaciół. Nie lubią go, ale szanują i obawiają się. Propagandą zarządza despotycznie.

Jako kardynałów na tron papiezki wymieniają także zdolnych i wpływowych kardynałów Svampe i Sarto.

Ale wszystkie przewidywania są przedwczesne. Konklawe może zgotować światu wielką niespodziankę i wybrać tego, o którym nikt nie myśli, np. najstarszego członka św. kollegium, słodkiego kardyn. Capecelatra. Konklawe może też podwyższyć najniższego. Słowem dziś można każdego członka konklawe uważać za kandydata. Dużo będzie zależało od kandydatów obcokrajowych, których jest teraz 28 na 36, a 55 prawdopodobnie zdążą na czas na konklawe.

Jest rzeczą ciekawą, że przed r. 1870 liczba kardynałów nie — Włochów nie przekraczała 8; dopiero Pius IX. podniósł ją do 25, a Leon XIII aż do 30 z górą. Zamiary Piusa IX, w tym względzie polegały na tem, żeby uniemożliwić rządowi włoskiemu bezpośrednie oddziaływanie na Kuryę, a z drugiej uniemożliwić kardynałom Włochom porozumienie się z tym rządem. Leon XIII. miał na celu powiększenie ilości wyższych duchownych ognisk Kościoła katolickie-



Kościół św. Piotra i Watykan.

go poza granicami Włoch. W każdym razie rzeczy dziś stoją tak, że w św. Kolegium, liczącem minimalnie 70, faktycznie zaś zwykle 60—65 członków, kardynałowie nie-Włosi stanowią poważną mniejszość, przez co nasuwa się z natury rzeczy pytanie, czy przyszły Papież będzie Włochem z urodzenia.

Na pytanie to można dać stanowczo twierdzącą odpowiedź. Przedewszystkiem Kościół katolicki ma tytuł rzymskiego i z Rzymem związana jest cała jego tradycya historyczna; kardynał nie Włoch, który nie wyrobił się wśród skomplikowanej maszyny, rządzącej wszechświatem, nie umiałby nią pokierować. Następnie ze względów politycznych trudno sobie wyobrazić np. stanowisko Niemiec wobec papieża Francuza lub odwrotnie. Wreszcie od czasu śmierci kardynała Lavigerie'go niema między kardynałami nie Włochami ani jednej osobistości dość wybitnej, aby mogła zasiąść na Stolicy Apostolskiej.

W niemieckich kołach dyplomatycznych uważają kard. Serafina Vanutelli'ego i Agliardi'ego za stronników trójprzymierza, ale wybór ostatniego jest mało prawdopodobny z powodu zbyt młodego wieku. Gotti uważany jest za przeciwnika trójprzymierza i przyjaciela Francyi; naprężone stosunki między nią a Watykanem mają stanowić przeszkodę w jego wyborze.

W Paryżu obawiają się jakiegoś energicznego kroku przeciwko Francyi podczas sprawowania rządów tymczasowych przez kard. Oreglia, który podobno nienawidzi polityki pokojowej Leona XIII-go. Dzienniki tamtejsze występują także z gwałtownemi i nieprzyzwoitemi napaściami na kard. Rampollę, któremu niechętna jest także część katolików francuzkich za jego przychylne stanowisko względem rzeczypospolitej.

* * *

Ostatnie życzenia Leona XIII.

Jeden z ostatnich utworów Ojca św. nosi tytuł: „Ostatnie życzenia Leona.“ Brzmi on w tłómaczeniu J. Rutkowskiego:

Dzień już blednieje i słońce już dąży
Ku cieniom nocy, Leonie!
W stygnących żyłach krew ledwie już krąży
I ledwie życie tli w łonie.
Głaz cię pokryje i szata pogrzebu,
Gdy śmierć ugodzi swym grotem,
Lecz dusza, wolna od więzów, ku niebu
Śmiałym się wzniesie polotem.
To kres mej drogi, to cel jej daleki,
Niech Bóg dopuści miłosny,
Bym zażył niebios promiennej ja wiosny,
Boga oglądał przez wieki...
Ja Ciebie, Panno, pacholęciem młodem
I starcem wielbiłem Ciebie!
Przyjm mnie do chwały! Za twoim przewodem
Dostąpię szczęścia na niebie...

W innym utworze z ostatnich lat pisze Ojciec św. w odpowiedzi tym, którzy w sędziwości i śmierci Papieża radziby widzieć upadek Kościoła:

Umarłeś! — krzyczą — nie ma cię na tronie,
Zgnębił cię ucisk, Leonie!
Próżne tryumfy! Nowy Leon wschodzi,
Piotrowej ima ster łodzi...

* * *

Koronacya papieża.

Pisząc o przyszłym papieżu, z pewnością zaciekawimy Czytelników następującym opisem koronacyi Ojca świętego.

W dzień koronacyi, która odbywa się zwykle w niedzielę albo w dzień świąteczny, papież otoczony okazałym orszakiem, udaje się z Watykanu do kościoła św. Piotra. Kardynałowie, prałaci, biskupi, najwyższe władze miejscowe, szambelani, gwardya przy-



Dom w Watykanie, w którym Leon XIII przebywa podczas choroby.

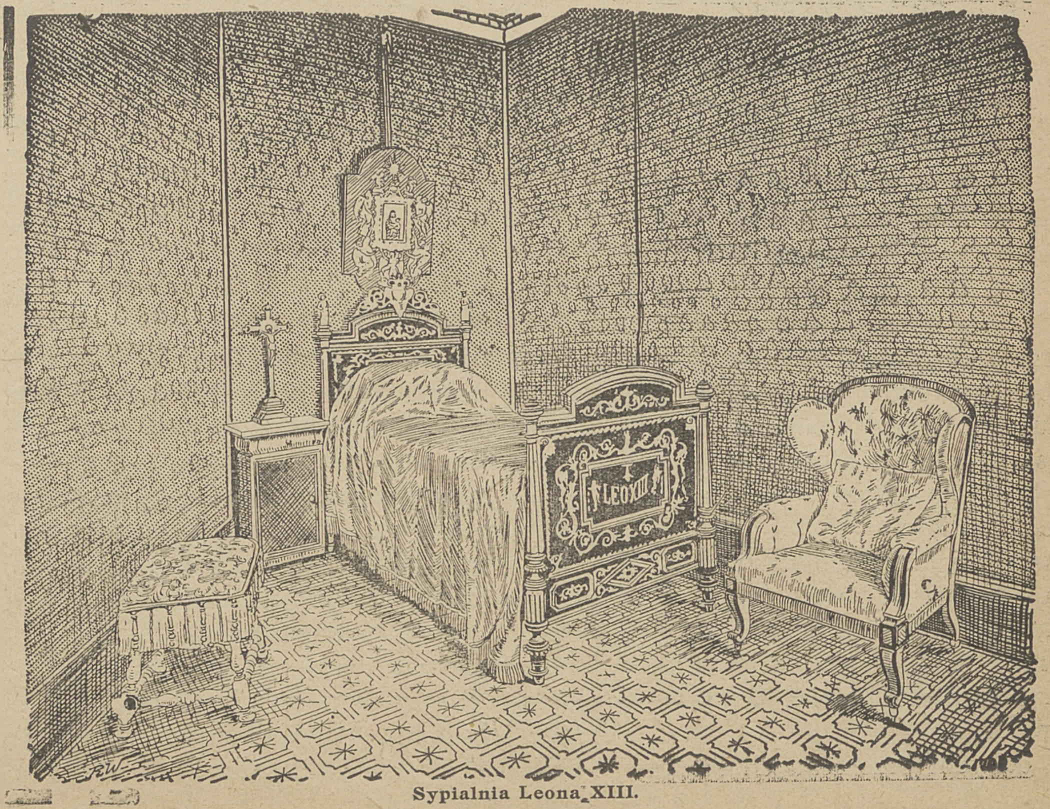
boczna, otaczają tron przenośny, w którym siedzi papież, niesiony przez dwunastu ze służby pokojowej, w szkarłatne przyodziany szaty. U głównego portyku kościoła św. Piotra, wznosi się tron pod baldachimem, na którym Ojciec św. zasiada przy śpiewie hymnu *Tu es Petrus* (Jesteś Piotrem); pierwszy kardynał ma do niego krótką przemowę winszującą w języku łacińskim, a całe obecne duchowieństwo składa hołd. Po przyjęciu hołdu, papież siada znów na krześle i orszak wchodzi do kościoła. Papież w infule na głowie zasiada na tronie i przyjmuje akt posłuszeństwa, poczem przy odpowiednich modlitwach wkładają Ojcu św. bogaty bardzo ornat, a inni kapłani przywdziewają odpowiedni godności swojej kościelny ubiór. Po zupełnem ubraniu, kardynał-dziekan wklada Ojcu św. na palec pierścień Rybitwa i podaje mu naczynie z kadzidłem dla wsypania do trybularza. Orszak zbliża się teraz ku wielkiemu ołtarzowi, a mistrz obrzędów przystępuje do papieża ze srebrną laską, u wierzchu której przymocowany jest pęk włosów, zapala go pochodnią, mówiąc: Ojcze święty, tak przemija chwała świata. Ta ceremonia palenia włosów i wypowiedzenia tych słów pełnych znaczenia, powtarza się jeszcze dwa razy.

Przy wielkim ołtarzu odprawia się uroczysta Msza koronacyjna. Ołtarz ten stoi w środku nawy kościola, pod wielką kopułą, jest głównym punktem przepychu kościoła św. Piotra i tworzy rodzaj namiotu, wspartego na czterech ozdobnych miedzianych kolumnach, około 90 stóp wysokich. Na galeryi przy wielkim ołtarzu 112 lamp. Pod tym ołtarzem złożone są relikwie św. Piotra.

Rozpoczyna się Msza koronacyjna. Papież klęka na stopniach ołtarza, odmawia *Confiteor* i modli się o przebaczenie swych grzechów. Po tym akcie tak wielkiego znaczenia, tak usposabiającym duszę według prawdziwego ducha kościoła, pierwszy dyakon zbliża się do papieża i oddaje mu palliusz, *) mówiąc: „Przyjm ten palliusz, oznakę godności papiezkiej, na cześć Boga, N. Maryi Panny, świętych apostołów Piotra i Pawła i świętego rzymskiego kościoła.'' Włożywszy na siebie palliusz, papież zasiada na tronie dla odebrania hołdu od duchowieństwa. Po tej ceremonii odbywa się Msza św. według następującego ceremoniału.

Papież zstępuje z tronu bez pastorału i mitry, zbliża się do stopni ołtarza, mówi *Introit, Kyrye,* intonuje *Gloria in excelsis* i wraca na tron, a jednocześnie muzyka wykonywa majestatyczne *Gloria.* Potem papież wraca do ołtarza, śpiewa kollektę i znów zasiada na tronie; następnie udaje się do podziemnej kaplicy w której spoczywają kości SS. Piotra i Pawła. Kardynał-dyakon śpiewa po trzykroć hymn *Exaudi Christe* (Wysłuchaj *Chryste*) wzywając łaski Bożej dla nowego papieża, a obecni powtarzają: *Tu illum adiuva* (Ty wspieraj go). Epistoły i Ewangelie, śpiewane są w kościele w języku łacińskim i greckim, poczem papież całuje obie księgi. Następnie papież intonuje *Credo,* mówi *Offertorium,* dopełnia konsekracyi i odprawia Mszę S. aż do komunii, przed którą wraca na tron, otoczony wszystkimi kardynałami. Subdyakon przynosi Ojcu S. Przenajświętszą Hostyę na patynie i krew w kielichu, i ten komunikuje w oczach wszystkich, dopełniając

* Palliusz jest to opaska z wełny białej w czarne krzyże; kładzie się na ramiona a od niej spadają trzy krzyże. Sam tylko papież może nosić palliusz zawsze i wszędzie; arcybiskupi zaś noszą go tylko w swoich dyecezyach, w dnie oznaczone przez papieża.



Sypialnia Leona XIII.

w ten sposób Sakramentalnego połączenia z Jezusem Chrystusem. Po komunii papież wraca do ołtarza i kończy bezkrwawą ofiarę, poczem zaczyna się uroczysta procesya poprzedzająca koronacyę Głowy kościoła.

Papież otoczony przez kardynałów, biskupów i wyższych dostojników niesiony jest w *seda gestatoria* pod baldachimem; w wielkiej niszy na stopniach ustawiony jest tron, papież na nim zasiada a śpiewacy kapeli intonują hymn: *corona aurea super caput ejus* (korona złota na jego głowie); podczas tego hymnu kardynał dziekan odmawia przepisaną modlitwę. Przy końcu tej modlitwy, drugi kardynał dyakon zdejmuje z głowy papieża infułę, a trzeci wkłada na głowę jego tyarę, to jest potrójną koronę wysadzaną brylantami, mówiąc:

„Przyjmij tyarę zdobną trzema koronami i wiedz, że jesteś Ojcem książąt i królów, władzcą świata, zastępcą na ziemi Pana Naszego Jezusa Chrystusa, któremu cześć i chwała na wieki wieków. Amen‟

Po odbyciu przepisanych modlitw, Ojciec Ś. podnosi się i udziela błogosławieństwo ludowi, który podczas koronacyi śpiewał: *Kyrye eleison.* Następnie papież wraca do kaplicy Sykstyńskiej, zdejmuje szaty przywdziane na czas obrzędu, odbiera od najstarszego wiekiem kardynała księdza życzenie długich lat, i wraca do Watykanu bez świty i orszaku. W tejże chwili rozlegają się wystrzały armatnie z zamku Ś. Anioła, wojska dają salwy, gra muzyka wojskowa i biją we dzwony wszystkich kościołów Rzymu. Wieczorem jaśnieje wspaniała iluminacya, kościół Ś. Piotra i olbrzymia jego kopuła przepysznie jest oświetloną, co majestatyczny przedstawia widok. Na zamku Ś. Anioła przez dwa wieczory palą ognie stuczne.



Kardynali kandydaci na stolicę Apostolską t. zw. papabili.

Zastanówmy się nad duchem i znaczeniem wyboru i koronacyi papieża. Nowowybrany papież niesiony jest na tronie, dla okazania jak wielką czcią otaczać należy przedstawiciela Jezusa Chrystusa, następnie niosą go do kościoła Ś. Piotra, ponieważ jest następcą tego Apostoła. Palenie paczesi oznacza: aby w pośród oddawanej mu czci i hołdów nie zapominał, że najświetniejszy przepych, wielkość i chwała świata są znikome i przemijające, że blask ich nie powinien olśniewać człowieka, istoty rozumnej, a cóż dopiero zwracać go z wytkniętej mu drogi. Dalej kapłani i wierni kornie błagają Boga aby wspierał i oświecał Namiestnika Chrystusa, iżby zgodnie z naznaczonem mu posłannictwem utwierdzał i umacniał wiernych, oraz aby dać poznać nowo wybranemu, że nie w osobistych jego moralnych i umysłowych przymiotach pokładają ufność i nadzieję, ale jedynie w Tym, który daje wolę i siłę. Prowadzą nowo wybranego papieża do kaplicy, w której złożone są relikwie ŚŚ. Piotra i Pawła, i odprawia Mszę św. co znaczy, że nowy papież uznaje iż pierwszym jego obowiązkiem jest błagać oświecenia i miłosierdzia u stóp ołtarza św. Piotra, a odprawiając bezkrwawą ofiarę, składa w ofierze wszystkie siły i władze swej duszy. Gdy najwyższemu pasterzowi wkładają koronę potrójną, lud cały woła z głębi duszy *Kyrye eleison!* Boże zmiłuj się! krótka, ale wzruszająca, pełna znaczenia modlitwa! Biskup rzymski jest skałą, na której Zbawiciel zbudował swój kościół; tak więc słaby śmiertelnik wybrany z grona ludzi ułomnych i skłonnych do grzechu, przyodziany jest tą najwyższą na ziemi godnością, tak wielkie wkładającą obowiązki przed Bogiem i przed ludźmi. Boże wspieraj go! wołają więc niezliczone tłumy wiernych, patrząc jak słaba istota pochyla głowę pod ciężką koronę Namiestnika Chrystusa.

Jak podają kroniki, pierwszym koronowanym papieżem był Damazy II-gi, (1048) urodzony w Niemczech, zaś tyarę o trzech koronach zaprowadził Urban V. (1362) rodem Francuz. Tyara papiezka ma kształt czapki, otoczonej trzema, jedna nad drugą, złotemi koronami. Korony te wysadzane są brylantami i drogiemi kamieniami, a po nad niemi wznosi się kula z krzyżem. Z obu stron spadają wstęgi wysadzane brylantami. Początkowo papieże używali zwykłej mitry lub infuły; historycy nie zgadzają się co do epoki, w której zaczęli używać tyary. Pierwszy Aleksander III-ci (zmarły 1181 r.) otoczył mitrę koroną, jako oznaką panowania. Bonifacy VIII (zmarły 1303) dodał do niej drugą koronę, jako oznakę władzy duchownej świeckiej, a Klemens V-ty (zmarły 1314) dodał trzecią, według jednych oznaczając przez to władzę papieża w kościele cierpiącym, wojującym, tryumfującym, według innych władzę w niebie, na ziemi i nad pie-

klem, a inni jeszcze utrzymują, że tyara była symbolem władzy nad trzema znanemi wówczas częściami świata.

Według *„Unita Cattolica"* trzy tyary papiezkie przechowane są w skarbcu watykańskim. Pierwsza ofiarowana przez Napoleona I. papieżowi Piusowi VII-mu gdy przybył koronować cesarza w Paryżu. Jest ona z perłowego aksamitu ozdobiona trzema złotemi obrączkami, wysadzonemi



Kardynał Oreglia, szambelan papiezki, sprawujący tymczasowe rządy aż do wyboru nowego Papieża.

wielkiemi brylantami i innemi drogiemi kamieniami, a nadto otoczona kilku sznurami drogocennych pereł. Górna część tyary jest szczerozłota i wysadzana rubinami i perłami, a w środku oprawiony jest wielki szmaragd, po nad którym wznosi się duży krzyż z brylantów. Wstęgi spadające na ramiona, wytkane są perłami rubinami.



Książę biskup krakowski kardynał Puzyna.

Wspaniała ta tyara waży 8 kilogramów i dlatego Grzegorz XVI-ty nie chcąc używać tak ciężkiej, kazał zrobić lekką złotem haftowaną tyarę, nawet tylko imitacyą kamieniami obsadzoną i tą się koronował. Już w ciągu panowania kazał zrobić drugą złotą, ale lekką.

W r. 1855 królowa Izabella ofiarowała Piusowi IX. bardzo kosztowną i artystycznie wykonaną tyarę. Na litem srebrnem tle, wznoszą się trzy korony jedna nad drugą, wszystkie osadzone dwoma rzędami brylantów i wielkiemi oddzielnie oprawianemi brylantami, wśród których jaśnieje ośm gwiazd, cztery ze szmaragdów, a cztery z rubinów. Wogóle zdobi tę tyarę 19,000 drogocennych kamieni, w tej liczbie 18,000 samych brylantów. W tymże roku Pius IX. kazał tyarę tę sprzedać, a otrzymane za nią 50,000 skudów włoskich obrócił na cele dobroczynne i potrzeby kościelne; zaś w jej miejsce rozkazał zrobić lekką bardzo tyarę, której całą ozdobę stanowią trzy obrączki złote. Jest ona najskromniejsza ze wszystkich, i nią właśnie koronował się Leon XIII. dnia 4-go marca 1878 r.

J. B.

Gabinety czarne.

Tajemnica pocztowa, czyli nietykalność listów i wszelkiej korespondencyi zapieczętowanej, przesyłanej pocztami,

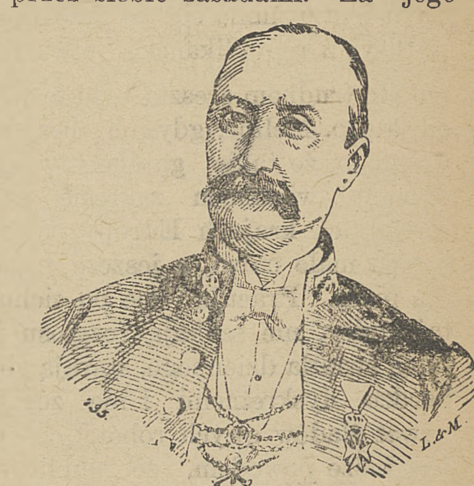


Ks. kardynał Skrbenski, arcybiskup praski.

stanowiła i stanowi jedną z zasad prawa publicznego państw ucywilizowanych i powszechnego prawa narodów.

Nietykalność tę zastrzegają tak dobrze traktaty, umowy między państwami i konwencye pocztowe, jak i różne prawa zasadnicze, konstytucye, uchwały parlamentów i izb prawodawczych, a wskutek tego i prawa kryminalne zagrażają surowemi karami za otwieranie cudzych listów.

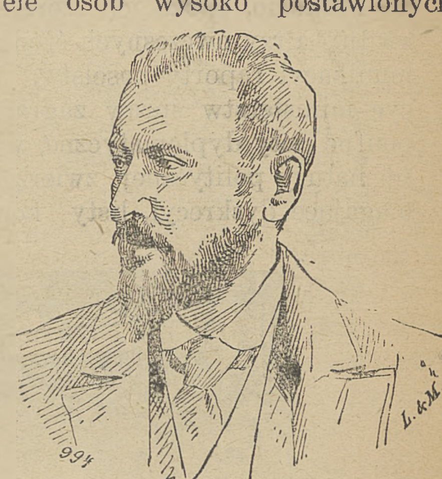
Najlepsze jednak prawa nie są w stanie zapobiedz nadużyciom i pod tym względem, który nawet starano się nieraz usprawiedliwić pozorami bezpieczeństwa społecznego i państwowego, a przewrotne teorye o dotrzymywaniu zaciągniętych zobowiązań wygłaszano także wielokrotnie. Dawno już przecie Machiawel w swoim „Il principe" nauczał, że traktaty dopóty tylko mogą być szanowane, dopóki nie okażą się szkodliwemi, albo niedogodnemi dla której ze stron kontraktujących. Z największą zaś przebiegłością stosował teorye te w praktyce Fryderyk II, król pruski, który, potępiwszy i zbiwszy maksymy i zasady włoskiego publicysty w swoim znów „Antimachiawelu," sam w polityce, dyplomacyi i wyborze środków, prowadzących do celu, kierował się właśnie potępionemi przez siebie zasadami. Za jego też



Dr. Lapponi,
1-szy lekarz nadworny Leona XIII.

czasów i współczesnego z nim Augusta III Sasa, wykradanie tajnych dokumentów, zdrady stanu, przejmowanie i otwieranie cudzych korespondencyi były rzeczą bardzo zwyczajną. Istniały nawet sekretne instytucye, zajmujące się tego rodzaju operacyami, którym, już w osiemnastym wieku, nadano nazwę „gabinetów czarnych."

W dwóch rozgłośnych i nader drażliwej natury sprawach prowadzonych parę lat temu w Berlinie, w których wiele osób wysoko postawionych u



Dr. Mazzoni,
2-gi lekarz nadworny Leona XIII.

dworu, ministrów i wyższych agentów tajnej policyi było skompromitowanych, ważną odegrały rolę przejęte notatki, cudze listy i korespondencye, które wraz z zeznaniami osób badanych, dały niejako przedsmak tego rodzaju nowoczesnych instytucyi.

Najbardziej jednak przypomniały się czarne gabinety w sprawie Dreyfusa. Musiał nawet taki czarny gabinet francuski nietylko odegrać ważną rolę

w tym procesie, ale nawet dać się nie jednemu dobrze we znaki, skoro aż spowodował dyskusyę, wywołaną interpelacyą deputowanego Delcasse, na którą prezes ministrów Meline odpowiedział bez ogródki, że taki gabinet istnieje, że egzystował za wszystkich rządów francuskich i że z jego usług korzystał przecież i sam szanowny interpelant, kiedy był jeszcze ministrem, Tu przynajmniej nie robiono już sekretu i przyznano się do grzesznej instytucyi z republikańską otwartością.

Nie trudnem zresztą było to wyznanie dla p. Meline, gdyż i bez niego wiadomo, że takie gabinety w mniejszym lub większym zakresie są we wszystkich krajach Europy, tylko się o nich mało mówi, a jeszcze rzadziej coś pisze. Pracują one po cichu i w tajemnicy, nie szukają rozgłosu i nie lubią światła dziennego, starają się być bardzo dyskretnemi i nie zostawiać nawet śladów swych robót, co także jest może powodem, że publicystyka zajmuje się niemi tak niewiele.

A przecież jest to instytucya bardzo ciekawa i szkoda, że powyższa parlamentarna o niej rozprawa nie dała nam poznać, jak też takie czarne gabinety wyglądają w swej teraźniejszej edycyi, jaką jest ich obecna organizacya wewnętrzna i zewnętrzna, jakiemi posługują się aparatami, i środkami i jak też daleko sięgają ich operacye tajemnicze.

Powiedzieliśmy: w swej teraźniejszej edycyi, gdyż takie gabinety istnieją oddawna, a wiek osiemnasty był, o ile wiadomo, epoką ich szerszego rozkwitu. Przy ówczesnych środkach komunikacyi raporty poselstw, instrukcye ministerstw spraw zagranicznych poufne noty dyplomatyczne, wiadomości natury politycznej, zwierzenia wymagające dyskrecyi, listy kompromitujące i inne tej treści korespondencye szły po większej części zwyczajną pocztą państwową i tylko w rzadkich wypadkach przesyłano je przez kuryerów specyalnych, a nadto, wiele takich korespondencyi prowadzono w zwykle zrozumiałym języku; miały więc czarne gabinety bardzo obszerne i wdzięczne pole do działania.

Wprawdzie nie dowierzano sobie wzajemnie i dość często pisano kluczem umówionym lub cyframi, niektóre przynajmniej zdania i wyrazy, i starano się ubezpieczyć przesyłkę za pomocą podwójnych kopert i kunsztownie przygotowanych pieczęci wewnętrznych z sekretnemi na nich znakami, ale zręczność czarnych gabinetów umiała sobie z tem wszystkiem poradzić. Wykradano więc albo odcyfrowywano klucze, otwierano koperty bez ich zepsucia i nadwerężenia, naśladowano pismo, fałszowano pieczęcie i innemi sposobami dobierano się do tajemnicy.

Działalność tych gabinetów była wówczas rzeczą tak zwyczajną i znaną, zwłaszcza w sferach politycznych, że gdy wypadkiem pochwycono jaki dowód ich roboty i zaczepiono o to ministra, ten nie silił się nawet na wytłomaczenie, tylko zbywał interpelacye żartobliwym konceptem.

W owych to właśnie czasach ambasador francuzki w Londynie żalił się raz przed księciem Newcastle, że otrzymał z poczty depeszę swego dworu, zapieczętowaną pieczęcią Wielkiej Brytanii.

— To tylko pomyłka kancelaryjna — odpowiedział minister angielski z uśmiechem.

Inny poseł otrzymawszy także depeszę zamkniętą przez ostrożność w dwóch kopertach, z których wewnętrzna powinna była być zapieczętowana pieczęcią gabinetową jego dworu, a zewnętrzna pieczęcią urzędu pocztowego, dostrzegł, że na odwrót, na kopercie zewnętrznej była pieczęć gabinetowa, a na wewnętrznej pocztowa, a gdy, żaląc się na nadużycie, zapytał ministra, co to ma znaczyć, ten, wzruszywszy ramionami odrzekł:

— Zdaje się, że to tylko prosta i niewinna zamiana, zresztą wszystko przecież w porządku!

Poseł elektora saskiego przy jednym z dworów europejskich skarżył się znów przed ministrem tegoż dworu, że depesza, jaką otrzymał, była zapieczętowana pieczęcią sfałszowaną, na której brakowało pewnego tajemnego znaku.

— Prawda — odpowiedział minister — ależ panowie macie w Dreznie lepszych pieczętarzy, niż my tutaj.

Wiele ciekawych wiadomości o gabinetach czarnych osiemnastego stulecia przekazał nam radzca stanu Klüber w swojej „Cryptographie,“ opartych na sprawozdaniach i pamiętnikach autentycznych radzcy nadwornego Siepmanna, który jakiś czas był rezydentem saskim przy dworze pruskim. Ten p. Siepmann był właśnie naczelnikiem takiego gabinetu 1736 do 1750 r., a więc doskonale wtajemniczonym w jego operacye.

Ciekawe te wiadomości mają dla nas szczególny interes jeszcze i dlatego, że dotyczą czarnych gabinetów za czasów Augusta III, elektora saskiego i króla polskiego, że były pod najwyższym kierunkiem i szczególną opieką pierwszego ministra Brühla, i że taki gabinet istniał w Dreźnie i Warszawie, a nawet przez jakiś czas i w Lublinie.

Podług opowiadania samego Siepmanna, w ciągu lat, przez jakie pozostawał na tym tajnym urzędzie, tysiące listów i depesz ministeryalnych rozpieczętowano, odczytano, odcyfrowano i skopiowano, a następnie zręcznie zapieczętowano je napowrót i odesłano podług ich przeznaczenia.

Każdy urzędnik, który zajmował się tą niewykłą robotą, musiał wykonać, często nawet kilkakrotnie, groźną przysięgę na zachowanie tajemnicy.

August III osobiście interesował się temi sprawami i sam ułożył z głównym dyrektorem poczt, żeby wszystkie listy, przychodzące lub odchodzące po otrzymaniu ich w biurze pocztowem, były odsyłane do gabinetu czarnego, który znów od czasu do czasu składał królowi raport o ważniejszych rezultatach tej osobliwej kwerendy. Wszechwładny hr. Brühl był i tu właściwie naczelnym dyrektorem i kazał donosić sobie codziennie o treści otwieranych depesz i listów, w których było cokolwiek zasługującego na uwagę.



Kardynałi modlący się w kaplicy sykstyńskiej przed rozpoczęcjem konklawe.

Szanowny Siepmann przekazał także potomności i nazwiska swoich również szanownych kolegów. Wicedyrektorami więc byli: naprzód on sam, następnie tajny radzca wojskowy Simonis, a wreszcie radzca wojskowy Goltze.

Stanowiska urzędników niższego stopnia zajmowali: Jonisch, audytor główny, jako naczelny tłomacz listów, pisanych w języku polskim, i baron Scheel, oficer korpusu kadetów, biegły rysownik, który posiadał nietylko talent portretowania kredką lub ołówkiem znajomych sobie osób i takich, które tylko raz widział, ale i nadzwyczajny dar naśladowania wszelkich charakterów pisma. Ten dar zjednał mu stopień kapitana i powiększenie pensyi. Fałszerstwa i roboty, dokonywane w ich pracowni, były arcydziełami „sui generis.‘‘

(Dokończenie nastąpi.)

Hej! na mojej, na łące...

Hej! na mojej, na łące
Rosły zioła pachnące,
I szczaw kwitnął rumiany
Na mej łące kochanej!
Gdym szedł ku niej od wioski,
Powtarzałem: „Cud Boski!
Taka łąka, co rana
W srebrnej rosie kąpana!‘‘
Rozwijały się zioła,
Miód czuć było dokoła,
Hej! co było wesela
Na tej łące — wśród ziela!
Biały motyl miód pije,
W dole strumyk — lilije —
W słońcu roją się pszczółki,
Po nad wodą — jaskółki...
Idzie dziewczę-bławatek,
Pośród kwiatów — jak kwiatek...
Hej! co było wesela
Na tej łące wśród ziela!
Ale kiedyś — od rana
Kosy w słońcu zabłysły:
Jakaż w łące mej zmiana!
Główki kwiatów w dół zwisły —
I pokotem w murawie
Legły jaskry i szczawie:
Hej! na mojej, na łące —
Giną zioła pachnące!

* * *

Hej! w mej duszy, w gorącej
Gwiazd świeciło tysiące,
A ja — z górnym zapałem
Do walk życia się rwałem!
Wyciągałem do słońca
Młode, silne ramiona,
I świat jasny — bez końca
Tulić chciałem do łona!
Ale kiedyś — o dziwo!
Kosy w słońcu zabłysły:
Los rozpoczął swe żniwo...
I marzenia w dal prysły!
Operlony łzą — rosą,
Zginął zapał pod kosą...
Hej! w mej duszy, w gorącej —
Gaśnie gwiazdek tysiące!

Marjan Manteuffel.

Zabójstwo cara Piotra I.

23 marca 1801 roku.

(Z rękopisu wiarogodnego.)

(Ciąg dalszy).

Hrabia Palen był w wielkich łaskach u cara, który bardzo cenił jego zdolności. Posiadając zupełne zaufanie Pawła, Palen wiedział o najważniejszych sprawach państwa, a będąc wojennym gubernatorem stolicy, rządził tajną policją i przez niego jednego mogły dochodzić do cara doniesienia jej ajentów; ta okoliczność była rękojmią, że tajemnica będzie dochowaną zupełnie.

Gdy myśl już dojrzała, znając głos opinji publicznej, nieprzyjaznej rządowi, Palen mógł rachować na wielu wspólników, a więc odkrył swój śmiały zamiar wice-kanclerzowi hr. Paninowi, którego Paweł bardzo lubił, jako kuzyna swego guwernera. Otrzymawszy wychowanie pod dyrekcją rozumnego i wykształconego stryja, Panin odziedziczył jego swobodny sposób myślenia, nienawidził despotyzmu i życzył sobie nietylko upadku szalonego cara, lecz z upadkiem jego urządzenia swobodnych instytucyj, ograniczających carską samowolę. W tym względzie hrabia Palen podzielał jego myśli.

Pierwszą czynnością Palena i Panina było staranie się, żeby pogodzić z Pawłem faworyta Katarzyny, ks. Platona Zubowa i braci jego hrabiów Walerjana i Mikołaja, którzy byli w niełasce. Celu swego oni wkrótce dopięli. Zubowy, wezwani na służbę, przybyli do Petersburga. Palen i Panin wiedząc dobrze, jak ci ludzie nienawidzili Pawła, odkryli im swój zamiar. Zubowy natychmiast przystąpili do spisku, a z nimi kilku im oddanych klijentów, których oni protegowali, będąc jeszcze u władzy przy Katarzynie. Z tych osób z charakteru swego i położenia najważniejszymi byli: Jenerał baron Benigsen, Hanowerczyk, który odznaczył się w moskiewskiem wojsku w czasie wojny z Polską i Persami, uwolniony ze służby za przyjaźń z Zubowymi, jednak później za staraniem Panina przez Pawła powołany do służby i jenerał Tałyzin, komendant przeobrażeńskiego pułku i inspektor wojsk, znajdujących się w Petersburgu.

Pozyskanie takiego pomocnika było tem ważniejsze dla pomyślnego dopięcia celu, że Tałyzina bardzo lubili podkomendni i szanowali go wszyscy w gwardyjskich pułkach, a więc mógł on pociągnąć za sobą nietylko oficerów, lecz i żołnierzy, którzy nadzwyczajnie byli przywiązani do niego.

Wszyscy malkontenci, wyższe petersburskie towarzystwo i gwardyjscy oficerowie zbierali się u braci Zubowych i u siostry ich Zerebcowej, światowej damy, która była w bardzo przyjaznych stosunkach z angielskim posłem, lordem Withworthem, z urzędnikami poselstwa i z uczęszczającymi na jego salony. Z tego powodu mówiono w Europie, że lord Withworth był głównym czynnikiem spisku, i nie żałował angielskich pieniędzy dla kupienia wspólników, żeby uprzedzić wojnę Rosji z Anglią, grożącą handlowym interesom tej ostatniej.

Pogłoska ta niema żadnej podstawy, najprzód dlatego, że lord Withworth zbyt był znanym wszystkim ze swej honorowości i szlachetności, powtóre — spisek przeciw Pawłowi był czynem czysto moskiewskim, a dla niektórych nawet patrjotycznym, gdzie oprócz Benigsena nie wziął udziału żaden cudzoziemiec; nakoniec — że lord Withworth wyjechał z Petersburga natychmiast po zerwaniu dyplomatycznych stosunków tj. po zawiązaniu spisku.

Wieczorne zebrania u braci Zubowych zmieniły się na prawdziwe polityczne kluby, w których jedynym przedmiotem rozmowy było położenie Rosji, cierpiącej pod jarzmem szalonego despotyzmu. Mówiono o potrzebie położenia końca temu, lecz nikomu i do głowy nie przychodziło pozbawić Pawła życia; jedna myśl u wszystkich jedno życzenie było: zmusić go do zrzeczenia się tronu na korzyść w. ks. Aleksandra, którego lubili wszyscy za dobroć, rozum, łaskawe i grzeczne obejście się — przymioty zupełnie przeciwne nieugiętemu i despotycznemu charakterowi ojca jego. Te wszystkie narady odbywały się jawnie pod egidą petersburskiego wojennego gubernatora, który jako naczelnik tajnej policji otrzymywał codziennie doniesienia szpiegów i mówił carowi o tych tylko, które nietyczyły się spisku i osób w nim zamięszanych.

Hrabia Palen począł powoli przygotowywać do zamyślanego państwowego przewrotu w. księcia Aleksandra, którego zezwolenie koniecznie potrzebne było do szczęśliwego dopięcia celu. Widując się z nim Palen zawsze

zwracał mowę na trudne i smutne położenia Rosji, cierpiącej z powodu szalonych postępków ojca jego i nie doprowadzając do konkluzji, starał się wyrozumieć myśli w. księcia w tym względzie.

Ze smutkiem i ze spuszczonemi oczami słuchał go Aleksy. Nieraz powtarzały się owe milczące, lecz wiele znaczące sceny. Nareszcie razu jednego Palen odważył się wypowiedzieć mu wszystko i z nieubłaganą loiką dowiódł konieczności, dla szczęścia Rosji i dla bezpieczeństwa carskiej rodziny, usunąć od tronu szalonego cesarza i zmusić go samego do podpisania zrzeczenia się władzy. — Nie — odparł Aleksander — chociaż i nie mogę nie zgodzić się, że cesarz często jest niesprawiedliwy, lecz on jest moim ojcem, a ja się nigdy nie zgodzę na pozbawienie go władzy, chociażby największe nieszczęścia mogły być następstwem jego panowania. Wtedy to Palen wyjął z kieszeni własnoręczny rozkaz cara, który podejrzewając żonę swoją i dzieci, że mu chcą wydrzeć władzę, na wypadek jakiegobądź grożącego mu niebezpieczeństwa kazał aresztować carowę i dwóch w. książąt Aleksandra i Konstantego, — carowę odesłać do Chołmogor, około Archangielska, Aleksandra zamknąć do szlisselburskej fortecy, a Konstantego do petersburskiej cytadeli. Ten ostatni argument trafił do przekonania Aleksandra; w. książę zalewając się łzami dał Palenowi pozwolenie do działania, lecz kazał mu przysiądz, że się nikt nie targnie na życie Pawła, i że osoba jego będzie nietykalną. Niedoświadczony! On myślał odebrać ojcu koronę, nie odbierając mu życia!

Przyzwolenie, które dał Aleksander, rozwiązało Palenowi i głównym spiskowcom ręce. Wszystko było już gotowe do działania: większa część gwardyjskich oficerów była po ich stronie, sami żołnierze, osobliwie preobrażeńskiego i siemionowskiego pułków, niekontenci z ciężkiej służby, życzyli sobie zmiany i gotowi byli iść za ulubionymi naczelnikami wszędzie, gdzieby im kazano.

Tymczasem car jakby przeczuwając prędki upadek, lub może uwiadomiony przez kogo z niewielu prawdziwie oddanych mu ludzi o ogólnem nieukontentowaniu przeciw niemu i o działaniach jego tajnych wrogów, stawał się codziennie więcej ponurym i podejrzliwym.

Wahając się między strachem a gniewem, Paweł powitał hr. Palena, który przyszedł do niego ze zwyczajnym rannym raportem, groźnem zapytaniem:

Czy pan byłeś w Petersburgu w 1762 roku? (rok zabójstwa Piotra III.)

— Byłem najjaśniejszy panie — spokojnie odpowiedział Palen.

— Co pan robiłeś wtedy i jaki udział przyjmowałeś w tem, co się wtedy działo? — zapytał znowu cesarz.

— Będąc młodym oficerem, na koniu razem z pułkiem, w którym służyłem, byłem tylko świadkiem, a nie osobą działającą — odpowiedział Palen.

Cesarz spojrzał na niego groźnie i podejrzliwie.

— I teraz zamyślają zrobić to samo, co w 1762 roku!

— Wiem cesarzu — odpowiedział Palen najspokojniej — ja sam należę do liczby spiskowców.

— Jakto? i ty do spisku przeciwko mnie!

— Tak najjaśniejszy panie, żeby śledzić za wszystkimi i wiedząc o wszystkiem mieć możność przeszkodzić zamysłom wrogów i ochronić waszą cesarską mość.

Taka przytomność umysłu i spokojna twarz Palena uspokoiły Pawła, i teraz więcej niż poprzednio powierzył się wrogowi swemu.

Rozmowa ta miała miejsce na tydzień lub dwa przed owym dniem fatalnym i przyspieszyła katastrofę.

Ciąg dalszy nastąpi

Róża i fiołek.

Na małej grządce pomiędzy kwiaty
Róża swe czoło wznosiła dumnie,
„Nęcą każdego moje szkarłaty,
Rzekła, bo przyznać trzeba rozumnie,
Że piękność, zapach łączę w całości
I słusznie noszę królowej miano,
Świat umie cenić moje godności,
Gdyż mnie za symbol miłości dano.
Nigdy nie zniżę wzniosłej postaci,
By jako fiołek pełzać po ziemi,
On na wartości zbyt wiele traci,
Że między listki kryje się swemi.“
Słysząc to fiołek, jak go poniża
Róża, co wabić każdego rada,
Rzecze: „Godności własnej ubliża,
Kto o swej chwale sam opowiada.
Wprawdzie jam mały i niepozorny,
Lecz niemniej słodkie wydaję wonie —
Pogardzam pychą, a więc pokorny
Przed światem nisko chylę me skronie.
Chociaż nie przyzna mi nikt piękności,
Nie mam ja kolcy, co krwawo ranią,
Za godło służę cnocie, skromności,
Co ludzie chwalą, nigdy nie ganią.
Piękność znikoma, przemija zatem,
Ledwo wspomnienia odcień zostawia,
Skromność ma zawsze wartość przed światem,
Który ją między zalety stawia.“

Poznań, w lipcu 1903.

Stanisława R.

Pierścień.

Widziałem raz w towarzystwie młodą kobietę zakochaną. Oczy jej miały dwa razy tyle błękitu i blasku, co zazwyczaj; nie umiała zapanować nad swojem uczuciem.

Kogo kochała? Tego młodego pana pod oknem, syna domu, w mundurze, o głosie lwa.

Ach, Boże, jak też ona kochała tego człowieka i jak nie mogła usiedzieć na stołku!

Znałem się z nią dobrze, wracaliśmy nocą razem do domu.

— Jakaż piękna i jasna noc! — odezwałem się. — Czy bawiłaś się dobrze?

I aby uprzedzić jej życzenie, zdjąłem z palca zaręczynowy pierścień i dodałem:

— Widzisz swój pierścień? jest teraz za ciasny na mnie, ugniata mnie. Możebyś go dała rozszerzyć?

Wyciągnęła rękę i szepnęła:

— Daj, każę go rozciągnąć.

I oddałem jej pierścień.

* *

Po miesiącu spotkałem ją znowu. Chciałem zapytać o pierścionek, ale dałem spokój. Niema się co śpieszyć — pomyślałem — trzeba jej zostawić więcej czasu niż miesiąc.

Wtem ona, spuściwszy oczy, rzekła:

— Ach, prawda! pierścień. Nieszczęście się stało, tak go schowałam gdzieś że nie mogę znaleźć.

I czeka na moją odpowiedź.

— Czy gniewasz się o to? — pyta zaniepokojona.

— Nie — odparłem.

Mój Boże, jak jej się też ulżyło na sercu, że się nie gniewałem.

* * *

Upłynął rok cały. Znalazłem się znowu w starych kątach i pewnego wieczora odbywałem wędrówkę po znanej, dobrze znanej drodze.

W tem ujrzałem ją zbliżającą się ku mnie. Miała trzy razy tak niebieskie i trzy razy tak błyszczące oczy, lecz usta jej były zbyt duże i blade. Z daleka już odezwała się:

— Oto jest twój zaręczynowy pierścionek. Znalazłam go, mój drogi i kazałam rozszerzyć. Nie będzie cię już cisnął.

Spojrzałem na opuszczoną kobietę i na jej duże, blade usta. Rzuciłem też okiem i na pierścionek.

— Ach — westchnąłem, kłaniając się bardzo nisko — nie mamy szczęścia do tego pierścienia. Teraz jest znowu o wiele za duży.

Knut Hamsun.

Z norwegskiego przeł.

J. Klemensiewiczowa.

Walka byków w Hiszpanii.

WSPOMNIENIA Z HISZPANII.

Henryk Sienkiewicz.

(Ciąg dalszy.)

Madryt chlubi się temi łydkami — i zaiste ma czem.

Wielki człowiek wspiera się jedną ręką na czerwonej klindze swej kaledańskiej szpady, drugą wita łaskawie wielbicieli i wielbicielki. Czarne jego włosy, zaczesane do góry, łączą się ztyłu głowy w niewielki grzybek, z pod którego wymyka się krótki warkoczyk. To uczesanie i wygolona twarz czynią go podobnym nieco do kobiety. Przypomina także prowincyonalnego aktora; ogólnie biorąc, oblicze jego nie odznacza się inteligencyą, która zresztą nie stanowiłaby wprawdzie przeszkody w jego zawodzie, ale także nie byłaby mu na nic potrzebna.

Tłumy wchodzą do cyrku — idziemy z niemi.

Oto jesteśmy we wnętrzu. Różni się ono od innych wnętrz cyrkowych tylko ogromem i tem, że siedzenia są kamienne. Najwyżej idą w krąg loże, z których jedna, przybrana w aksamity i pozłociste frendzle, jest lożą królewską. Wrazie, jeżeli nikt z dworu nie przybywa na widowisko, zajmuje ją prezydent miasta. Obok zasiada arystokracya i wysocy urzędnicy; naprzeciw loży królewskiej umieszczona jest po drugiej stronie cyrku orkiestra. Rzęd krzeseł z poręczami znajduje się w połowie wysokości cyrku, resztę siedzeń stanowią schody kamienne. W dole, naokoło areny, ciągnie się na wysokość ramion człowieka drewniany parkan. Między tym parkanem a pierwszym rzędem siedzeń, wzniesionym gwoli bezpieczeństwu widzów, znacznie wyżej, biegnie wąski korytarz, do którego chronią się walczący wrazie, jeśli byk zbyt im zagraża.

Połowa cyrku pogrążona jest w cieniu, druga połowa zalana światłem słonecznem. Na każdym bilecie, obok numeru siedzenia, wydrukowane jest: „sombra“ lub „sol“ (cień lub słońce). Oczywiście bilety „sombra“ kosztują znacznie drożej. Trudno sobie wyobrazić, jak ci ludzie, którzy mają bilety „sol“, mogą wytrzymać w takim skwarze przez kilka godzin, siedząc na rozpalonych kamiennych stopniach i mając nad głową takie słońce!

Wszystkie miejsca są jednak zapełnione. Widocznie zamiłowanie do krwawego widowiska przewyższa obawę upieczenia się żywcem.

W krajach północnych różnica między światłem a cieniem nie jest tak wielka jak tutaj; istnieją zawsze jakieś pół-cienia, pół-blaski, jakieś tony przejściowe; tu zaś granica odrzyna się czarną, twardą linią bez żadnych przejść. W oświetlonej połowie piasek zdaje się palić, a ludzkie twarze i ubiory płonąć; oczy mrużą się pod nadmiarem blasku; jestto poprostu świetlista topiel, pełna żaru, w której wszystko skrzy się i błyszczy nadmiernie, każda barwa potęguje się dziesięciokrotnie. Natomiast zacieniona połowa wygląda jakby była okryta jakąś przezroczystą zasłoną, utkaną z ciemności nocnych. Każdy człowiek, który przechodzi ze światła do cienia, czyni wrażenie zgaszonej nagle świecy.

W chwili, gdy wchodzimy, arena pełna jest ludzi. Mieszczanin madrycki lub mieszczanka musi przed widowiskiem dotknąć nogą tego piasku, na którym za chwilę rozegra się krwawy dramat. Wydaje im się, że przez to biorą niejako bezpośredni udział w walce. Liczne grupy mężczyzn stoją, paląc paquitosy i rozprawiając żywo o zaletach byków z różnych stad. Małe paupry drażnią się i gonią wzajemnie. Oto widzę, jak jeden drugiemu podsuwa pod oczy kawałek czerwonej tkaniny, zupełnie tak jak „kapeador“ bykowi. Chłopiec znosi to czas jakiś cierpliwie, nakoniec zaczyna przewracać oczyma z gniewu i puszcza się w pogoń za przeciwnikiem. Ów, wykręcając się zręcznie, zwodzi nieprzyjaciela ruchami kapy, znów zupełnie, jak „kapeador“ byka. Malcy znajdują swoich widzów, którzy podniecają ich okrzykami.

Wedle parkanu przechodzą się zwolna przekupnie pomarańcz, głosząc zalety swego towaru. Handel ten odbywa się drogą powietrzną. Przekupień rzuca, na żądanie, z niechybną zręcznością, pomarańczę, choćby do najwyższych rzędów, i tą samą drogą otrzymuje sztukę miedzianą, którą łapie jedną ręką, zanim dotknęła ziemi. Te głośne rozmowy, śmiechy, nawoływania, gwar, furkotanie wachlarzy, ruch napływających widzów — wszystko to razem składa się na obraz tak pełen życia, że żadne inne widowisko nie może dać o niem pojęcia.

Nagle orkiestra uderza w trąby i bębny. Na to hasło, ludzie zajmujący arenę, lecą na swoje miejsca z takiem pośpiechem, jakby życiu ich groziło niebezpieczeństwo. Czyni się ścisk. Ale po chwili wszyscy już siedzą. Naokół aż czarno: ramię przy ramieniu, głowa przy głowie! W środku tylko zostaje pusta, zalana słońcem arena.

Teraz naprzeciw loży królewskiej otwierają się wrota w parkanie i na arenę wjeżdża dwóch *„alguazillów.“* Konie ich, białej maści, pyszne, wycięte jakby z obrazów; grzywy i ogony są zaplecione. Sami jeźdzcy, ubrani w czarne aksamitne berety z białemi piórami i w takież kaftany, o koronkowych kołnierzach, przywodzą na pamięć niezrównane płótna Valasqueza, które podziwiać można w Museo del Prado. Zdaje nam się, że jesteśmy przeniesieni w dawne rycerskie czasy. Obaj jeźdzcy są piękni, obaj okazałej postaci. Jadąc strzemię w strzemię, objeżdżają zwolna całą arenę dla przekonania się, czy jaki widz nieostrożny nie pozostał na niej, nakoniec zatrzymują się przed lożą królewską i ruchem pełnym gracyi odkrywają z uszanowaniem głowy.

Kto pierwszy raz jest w cyrku, tego napełnia podziwieniem ten uroczysty, niemal średniowieczny ceremoniał, te stroje i powaga jeźdźców. Wyglądają ci alguazillowie na dwóch szlachetnych heroldów, którzy przed rozpoczęciem turnieju składają cześć monarsze. Jakoż jestto prośba o pozwolenie rozpoczęcia widowiska, a zarazem o klucz do stajen, w których zamknięte są byki. Klucz spuszcza się po chwili z loży na złotym sznurku, alguazille kłaniają się raz jeszcze i odjeżdżają. Oczywiście, jestto tylko ceremonia, bo widowisko zgóry zostało postanowione, a byki są zamknięte na proste żelazne zasuwy. Ale ceremonia jest piękna i nie niechają jej nigdy.

W kilka minut po zniknięciu alguazillów, otwiera się najszersza brama i wchodzi cała „corrida“. Naczele jadą ci sami dwaj alguazille, których już widzieliśmy przed lożą królewską; za nimi postępuje szereg „kapeadorów“, za kapeadorami ciągną „banderilleros“ — pochód zaś zamykają „pikadorowie“. Cały ten zastęp gra wszystkiemi blaskami tęczy, lśni się od haftów, złota, srebra i różnobarwnych atłasów. Wychodzą z ciemnej niszy na słoneczną arenę, zanurzają się w jaskrawem świetle i rozkwitają, jak kwiaty. Oko nie może się nacieszyć tą wielobarwnością przepysznych plam na tle złotego piasku.

Doszedłszy do środka, rozpraszają się nagle, jak rój motyli. Pikadorowie ustawiają się naokół pod parkanem

i każdy, wyciągnąwszy lancę z tulei, chwyta ją silnie w prawicę; piersi tworzą malownicze grupy, w postawach pełnych niedbałości, oczekując na byka..

Jestto może najpiękniejsza chwila widowiska, pełna oryginalności tak często hiszpańskiej, że człowiekowi mimowoli żal, że nie jest malarzem. Ileż barw i ile słońca możnaby przenieść z palety na płótno!

Za chwilę już popłynie krew na arenie. W cyrku robi się cicho, jak makiem siał — zaledwie dosłyszeć można cichy szelest wachlarzy, które poruszają się tylko o tyle, o ile trzymające je ręce drżą z niecierpliwości. Wszystkie oczy zwrócone są na drzwi, któremi wypadnie byk. Czas teraz liczy się na sekundy.

Nagle w orkiestrze odzywa się przeraźliwy, a zarazem żałosny głos trąbki — drzwi od stajni otwierają się z łoskotem i byk wpada, jak piorun, w arenę.

Jestto wspaniałe zwierzę, o wspaniałym, potężnym karku, stosunkowo krótkiej głowie i ogromnych, podanych naprzód, rogach. Nasz ciężki stadnik słabe daje o nim wyobrażenie, bo lubo hiszpański byk nie wyrówna mu może ogromem ciała, przewyższa go natomiast siłą, a zwłaszcza sprężystością. Na pierwszy rzut oka poznasz, że to jest zwierzę hodowane dziko, wśród wielkich przestrzeni, które wskutek tego, przy całej swej sile, posiada ruchy tak nieomal szybkie, jak jeleń, co właśnie czyni je niesłychanie niebezpiecznem. Nogi jego przednie są nieco wyższe od tylnych, jak zwykle u bydła, pochodzącego z gór. Jakoż cyrkowe byki rekrutują się przeważnie z stad, hodowanych w Sierra-Morena. Maść ich po większej części czarna, rzadko czerwona lub srokata. Sierść jest krótka, połyskująca, jak atłas; kark tylko obrosły jest nieco dłuższym, kręconym włosem.

Wpadłszy na arenę, byk zwalnia kroku ku środkowi — spogląda krwawemi oczyma w prawo, w lewo — lecz trwa to zaledwie parę sekund; po chwili upatruje grupę kapeadorów, zniża głowę ku ziemi i rzuca się na nią naoślep.

Kapeadorowie rozprószają się zupełnie, jak stado wróbli, do których strzelono śrótem. Kręcą się teraz po arenie, wlokąc za sobą czerwone kapy z szybkością, od której kręci się w głowie; wszędzie ich pełno; migocą w lewo, są w środku areny, przy parkanie, przed oczyma byka, z przodu, z tyłu. Kapy furkają w powietrzu, jak chorągwie, szarpane wichrem.

Byk błyskawicznemi ruchami rozgania ich na cztery wiatry; goni za jednym, w tem drugi z boku podsuwa mu kapę pod same oczy; byk porzuca jedną ofiarę, by gonić za drugą, lecz zanim się zwrócił, podsuwa się ktoś trzeci. Dalejże w niego! Już przedział coraz mniejszy, już rogi byka zdają się dotykać pleców kapeadora; mgnienie oka jeszcze, a zostanie przygwożdżony do parkanu — lecz w tem człowiek dotyka ręką wierzchu parkanu — i ginie, jakby się w ziemię zapadł.

Co się stało? Oto kapeador przeskoczył na korytarzyk, ciągnący się między parkanem a pierwszym rzędem krzeseł.

Byk upatruje sobie innego, lecz zanim ruszył zkopyta, ów pierwszy kapeador wychyla głowę z za parkanu, jak czerwonoskóry Indyanin zakradający się do fermy białego osadnika — i przeskakuje znów na arenę. Byk ściga coraz zawzięciej tych nieuchwytnych nieprzyjaciół, którzy znikają mu z przed samych rogów; poznaje wreszcie, gdzie się chronią, zbiera się z siłami, gniew dodaje mu rozpędu i nakształt wyścigowego konia, przeskakuje przez parkan, pewien, że tam wygniecie, jak robactwo, swych nieprzyjacieli.

Lecz oni w tej samej chwili przerzucają się, ze zwinnością szympansów, na arenę i byk biegnie pustym korytarzykiem, nie widząc przed sobą nikogo.

Cały pierwszy rząd widzów przechyla się tym razem przez baryerkę, grzmocąc z góry byka laskami, parasolami, wachlarzami. Publiczność poczyna się rozgrzewać. Byk, który przeskakuje przez parkan, zapowiada się dobrze, podczas więc, gdy pierwszy rząd grzmoci go, czem może, wyższe klaszczą w ręce, krzycząc: *„Bravo el toro! muy buen! bravo el toro!*

On tymczasem trafia na otwarte drzwi i wybiega znów na arenę. Po przeciwnej jej stronie dwaj kapeadorowie siedzą sobie oto na stopniu, idącym wokół podnóża parkanu i rozmawiają najspokojniej. Byk puszcza się na nich natychmiast: jest już w połowie areny, a ci siedzą, nie przerywając rozmowy; jest na dziesięć kroków, ci siedzą dalej, jakby go nie widzieli; jest na pięć, ci jeszcze rozmawiają. Okrzyki niepokoju odzywają się tu i owdzie w cyrku; dwaj zuchwalcy pierzchają, jeden w prawo, drugi w lewo — z przed samych rogów. Rogi uderzają z głuchym łoskotem w parkan, w cyrku zrywa się burza oklasków, i w tej samej chwili ci i inni kapeadorowie otaczają znów byka, wyzywając go kapami.

Wówczas zaciekłość jego przechodzi w furyą: miota się, rzuca, obraca się na miejscu; cochwila rogi jego zadają cios, cochwila zdaje się, że żadna siła ludzka nie wyrwie tego lub owego kapeadora od śmierci — tymczasem rogi przeszywają zawsze powietrze, a czerwone kapy migocą ze wszech stron; czasem upadnie która na ziemię, i w tejże sekundzie byk wbija ją niemal w piasek z wściekłości. Ale to mu nie wystarcza, musi on wyszukać sobie jakąś ofiarę i dosięgnąć jej koniecznie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

z tomu drugiego — otrzyma każdy nowy abonent gratis i franko.

Nadto zamieszczać będziemy cały szereg przepięknych nowel, opowiadań, wspomnień z podróży i t. d. pióra naszych najznakomitszych współczesnych literatów; mianowicie drukować będziemy w dalszym ciągu między innemi utwory *Henryka Sienkiewicza*. Po ukończeniu druku opisu puszczy Białowiezkiej p. t. *„Z puszczy Białowiezkiej"*, rozpoczęliśmy zamieszczać wspomnienie z podróży p. t. *„Walka byków w Hiszpanii."*

Nekrologia.

S. p. dr. Bolesław Sowiński,

lekarz w Poznaniu (Jeżycach) umarł dnia 13-go b. m. skutkiem udaru sercowego, po krótkich cierpieniach, żałowany serdecznie przez wszystkich, którzy go znali — bogatych i ubogich. Dla ostatnich miał serce otwarte, był on dla nich nietylko lekarzem, ale i opiekunem; wszędzie, gdzie wchodził, niósł pociechę słowem i czynem i każdy biedak oprócz lekarskiej porady, otrzymywał od niego bezpłatnie lekarstwo a nadto wsparcie pieniężne na ulżenie niedostatku. To też ten prawdziwy przyjaciel biedaków nie posiadał wielkiego majątku, mimo swej rozległej praktyki. Przeniósłszy się przed dziesięciu laty ze Skoków do Jeżyc, zdobył sobie w krótkim czasie prawym charakterem i uczciwą pracą około społeczeństwa szacunek ogólny i pozostawia po sobie żal serdeczny. Dr. Sowiński umarł jako doskonały lekarz, pocieszyciel ludzkości; kto go znał, kochał i szanował; umarł jako najwierniejszy, najlepszy mąż i ojciec, jako dobry i prawy Polak i katolik. Cześć pamięci zacnego, szlachetnego męża. Oby ziemia polska, którą całem sercem kochał, była mu lekką!

* * *

S. p. Witold Leitgeber,

wydawca „Gazety Ostrowskiej", którą krótko przed śmiercią sprzedał księgarzowi Rowińskiemu, umarł w Ostrowie dnia 6-go b. m. Nieboszczyk stał się rozgłośnym z powodu procesu, jaki mu wytoczono w sprawie rapperswylskiej, za co go skazano na rok więzienia fortecznego, którą to karę odsiedział w Magdeburgu. Oskarżono go nawet o zdradę stanu. Zmarły był z zawodu księgarzem i bardzo ruchliwym i czynnym człowiekiem w życiu naszem narodowem. Miał skłonność do pisania poezyi. Zasilał także „Pracę" swemi utworami, mianowicie z obczyzny, gdzie nie małe zasługi położył między Polakami wszędzie krzewiąc ducha narodowego. Była to na wskroś dusza patryotyczna, a mniej licząca się z realnemi stosunkami, ztąd też wbrew swej woli sprowadził różne nieprzyjemności na ludzi, gdyż głównie z jego nieostrożności powstały procesy wśród naszej młodzieży szkolnej. Będąc wątłego zdrowia, a przechodząc różne nieszczęścia, popadł w chorobę, która też w młodym wieku przecięła pasmo jego pracowitego żywota. Cześć pamięci tej szlachetnej i patryotycznej duszy!



Ś. p. Witold Leitgeber.

* * *

Ś. p. Zygmunt Gorgolewski.

We Lwowie umarł dnia 5 go b. m ś. p. Zygmunt Gorgolewski, jeden z najwybitniejszych naszych architektów i inżynierów; stosunkowo przedwcześnie, bo w 58 roku życia. Zgon jego odbije się bolesnem echem w całem polskiem społeczeństwie, mianowicie w dzielnicy, z której był rodem, w Wielkopolsce.

S. p. Zygmunt urodził się w Solcu w Wielkiem Księstwie Poznańskiem w r. 1845. Nauki ukończył przez złożenie egzaminu dojrzałości, w gimnazyum realnem w Poznaniu. W r. 1866 udał się na akademią budowniczą do Berlina. W r. 1871 złożył tam pierwszy, a w r. 1874 drugi i ostatni egzamin państwowy na architekta i inżyniera, uprawniający go do służby rządowej w Prusach.

Do roku 1887 przebywał stale w Berlinie, gdzie mu wielki tryumf przyniósł dwukrotny międzynarodowy konkurs na gmach parlamentu niemieckiego. W pierwszym konkursie projekt Gorgolewskiego należał do tych 20, które postawiono bliżej rozpatrzeć; przy konkursie drugim przypadła mu nagroda czwarta. W kraju odznaczył się przy konkursie na gmach sejmowy we Lwowie, przyczem uznano projekt jego za najwybitniejszy, mimo, iż wykonanie tej budowli polecono komu innemu.

S. p. Gorgolewski był także twórcą wielu budowli, wzniesionych na ziemiach polskich. Wymieniamy niektóre z nich: Gmach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, odnowienie biblioteki Działyńskich w Kórniku, pałac hr. Kwileckiego w Oporowie, hr. Czarneckiego w Siekowie, ks. Radziwiłła w Bagateli, kaplica Czapskich w Smogulcu i odnowienie zamku Radziwiłłów w Ołyce.

W roku 1893, dnia 20 stycznia powołało go austryackie ministerstwo oświaty na dyrektora c. k. wyższej państwowej Szkoły Przemysłowej we Lwowie. W tym celu prosił o uwolnienie ze służby państwowej pruskiej i uzyskał je na mocy własnoręcznie podpisanego patentu przez cesarza Wilhelma II z dnia 14 lutego 1893, z nadaniem mu tytułu królewskiego radzcy budownictwa.

Przybywszy do Galicyi, rozwinął tutaj nadzwyczaj gorliwą działalność. W Krakowie brał udział w sądzie, oceniającym projekta na budowę teatru, a w r. 1893 uzyskał we Lwowie pierwszą nagrodę za projekt na pałac sztuki na wystawie powszechnej krajowej w 1894, oprócz tego brał czynny udział w komisyi budowlanej dla restauracyi katedry rzymsko-katolickiej we Lwowie i w Krakowie; w roku 1896 zaś rozpoczął budowę nowego teatru miejskiego we Lwowie wedle swego projektu, od-

znaczonego na konkursie pierwszą nagrodą,

Obdarzony wielką energią życiową, nie odrzucał żadnej pracy, należącej do jego zawodu. Był członkiem rady sztuk pięknych, przy ministerstwie wyznań i oświaty, c. k. konserwatorem w centralnej komisyi dla badania i utrzymania zabytków sztuki, członkiem komisyi krajowej dla spraw przemysłowych, członkiem i korespondentem Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu itd. a w uznaniu zasług jego, położonych około budownictwa i architektury, cesarz odznaczył go orderem żelaznej korony i zamianował radzcą rządowym.

Liczne podróże i gruntowne badania, przedsięwzięte na pomnikach architektury, uczyniły z Gorgolewskiego w całem znaczeniu europejską powagę naukową w sprawach architektonicznych — ubytek więc tej niezwykłej siły, ubytek bądź co bądź przedwczesny, jest podwójną stratą w naszym bilansie narodowym. Pogrzeb ś. p. Gorgolewskiego odbył się dnia 7 b. m. R. i p.

Wiadomości.

— ***Uroczystości strzeleckie*** jubileuszowe poznańskiego Bractwa kurkowego z okazyi 650-letniego istnienia Bractwa rozpoczęły się w grodzie naszym w ubiegłą niedzielę, dnia 12-go b. m. i potrwają do przyszłej niedzieli, dnia 19-go b. m. włącznie. Punktem kulminacyjnym uroczystości jest sielskie Miasteczko, dokąd dążą liczne rzesze publiczności. Tam w ogrodzie strzeleckim przeszło tysiąc Braci kurkowych, przybyłych z 20 miast, bierze żywy udział w strzelaniu do 18-tu tarcz, by uzyskać celnemi strzałami godność króla jubileuszowego lub też kosztowne złote i srebrne premie.

W chwili tak rzadkiego, bo półsiodma wiekowego jubileuszu, zasyłamy poznańskiemu Bractwu kurkowemu najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności, niech się pod dzielnem i energicznem przewodnictwem p. Jana Spechta coraz bardziej rozwija i niech prosperuje w nadziei, że po dniach smutnych i pochmurnych zajaśnieje wreszcie szczęśliwa dla nas zorza poranna!...

— ***Spisy wyborcze*** obywateli uprawnionych do wyboru radnych miejskich wyłożone są w Poznaniu od ***15—30 lipca*** w sali posiedzeń B. w starym ratuszu od 8—9 i od 3—6 po południu. Zwracamy obywatelom uwagę na owe spisy, zachęcając ich, aby przekonali się, czy są w nich pomieszczeni.

— **Bank Parcelacyjny w Poznaniu**, ul. Wiktoryi nr. 12, wskaże rodakowi sprężystemu, który posiada około 6 do 8,000 m. majątku, bardzo korzystne kupno w prowincyonalnem mieście. Jesto kompleks domostw, gdzie są dwie oberże, gdzie można założyć kram, a ponieważ podwórze i śpichlerz wielki, można założyć skład zboża, superfosfatów i t. p.

— **Wyprzedaż mebli** z powodu przeniesienia składów rozpoczęła się dnia 13-go b. m. w magazynie mebli p. Gabryelewicza przy ulicy Wiktoryi nr. 14. Wybór mebli tylko najmodniejszych i najgustowniejszych jest wielki, a każdy garnitur, każda sztuka wyprzedaje się po cenie zniżonej. Zwracamy szczególnie uwagę Szanownej Publiczności na eleganckie i bardzo piękne stylowe urządzenia pokoi. Od 1-go października magazyn mebli p. W. Gabryelewicza znacznie powiększonym i przeniesionym będzie na ulicę Wiktoryi nr. 12. Pan G. jako zawodowiec wszechstronnie wykształcony, mianowicie jako architekt wewnętrznej dekoracyi, wszelkim wymaganiom, nawet najwybredniejszym gustom zadosyć uczynić i wszelką konkurencyę śmiało pokonać może.

— **Stęszewo**,! 8-go lipca. W dniu 5-go lipca r. b. odbyła się w lesie zamysłowskim, należącym do hrabiego Potockiego z Będlewa, nasza zabawa zgodnie i harmonijnie. Hr. Potockiemu składamy na tej drodze szczere i serdeczne podziękowanie za łaskawe udzielenie nam nie tylko w tym roku, ale już od 25 lat nietylko miejsca do zabaw, lecz stołów i ław, co jest corocznie połączone ze znaczną ofiarą z jego strony. Niech mu Pan Bóg za to błogosławi i pozwoli nietylko utrzymać w swych rękach piękny klucz będlewski, lecz powiększyć jeszcze w dwójnasób swój majątek!

Zarząd „Cechu Pospolitego.“

— **Miejska Górka**. Bolesław Januszewski, uczeń pana M. Daneckiego, złożył w Poznaniu przed komisyą egzaminacyjną, chlubnie egzamin na pomocnika zegarmistrzowskiego, otrzymawszy, jako jeden z pierwszych od czasu założenia Izby rzemieślniczej predykat I „nadzwyczajnie.“

Zmarli.

† Ś. p. *Władysław Binek* dnia 7-go b. m. w Owińskach w 32 roku życia.

† Ś. p. *Leon Mizgalski*, ojciec ks. Kazimierza Mizgalskiego, dnia 5-go b. m. w Ostrowie.

† S. p. *Władysław Sęp Sarzyński*, właściciel dóbr Okowy w Król. Polskiem, w guberni kaliskiej, dnia 8-go b. m.

† Ś. p. *Jan Wiktor Brózda* w Jacewie na Kujawach dnia 8-go b. m. przeżywszy 70 lat.

† Ś. p. *Julian Ziemski*, znany i gorliwy w sprawach narodowych obywatel bydgoski, dnia 11-go b. m.

† Ś. p. *Stanisław Bajon* dnia 10-go b. m. w 36 roku życia w Poznaniu (Jeżycach).

† Ś. p. *Zofia Bożena Szyszkowska* w 18-tej wiośnie życia, uczennica wyższej szkoły żeńskiej p. Estkowskiej w Poznaniu, dnia 9-go lipca.

† Ś. p. *Wanda Rybczyńska* dnia 9-go b. m. w Poznaniu.

† S. p. *Marya Kraszkowska* dnia 11-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Bolesław Brodziak*, student politechniki, dnia 11-go b. m. w Poznaniu w 23 roku.

† Ś. p. *Wiktorya z Nowaków Węcławska* dnia 11-go b. m. w 65 roku w Poznaniu.

Wiadomości literackie.

— **„Quo Vadis?“** — czasopisma miesięcznego wyszedł zeszyt 2-gi i zawiera treść następującą:

Quo vadis Borussia christiana? (Ciąg dalszy). — Ks. biskup kardynał Kopp a kodeks karny. — Poczta Redakcyi. — Bismarck „Alman-sor.“ Wiersz. — Nieprzedawniona sprawa Loehninga, jego exposé i jaka ztąd nauka. — Exposé w sprawie Loehninga. — Pałac królewski w Poznaniu. — Potęga słowa — potęga pięści. Aleksander Obrenowicz — Draga Obrenowicz.

W dodatku ekonomicznym: Sprawy okowiciane. — Konkursy firm kupieckich.

— **„Przewodnika zdrowia“** (Czarnowski, Berlin Karlstrasse 32) Nr. 7 i 8 (na lipiec i sierpień) wyszedł i zawiera:

Zwapnienie tętnic (Atheromatosis) i zapobieganie temu. — Domowe łatwe sposoby badania produktów spożywczych. — O samogwałcie. — Jeszcze nieco o leczeniu za pomocą słabych prądów elektrycznych. (Dokończenie — z ryciną). — Zdrowotne rady dla składających egzamina. — Przeciw szczepieniu ospy. — Przestrogi i rady. — Rozmaitości. — Piśmiennictwo. Od wydawnictwa.

Ruch w Towarzystwach.

— **Miłosław**. Zabawę latową urządza młodzież miłosławska w niedzielę d. 19 lipca w lasku Białopiątkowskim. Wymarsz o godzinie pół do 2-giej z hotelu Bazar, powrót wieczorem do Bazaru, gdzie na sali odbędzie się zabawa z tańcami. W razie niepogody odbędzie się koncert na sali wzmiankowanej. O jak najliczniejszy udział uprasza

Komitet.

Od Redakcyi.

Panu Stefanowi G. w Recklinghausen. — Adres „Redakcya „Djabła“ w Krakowie (Krakau — Galizien)“ zupełnie wystarczy. — W Prusiech jest tylko dozwolona gra w loteryą pruską, gra w wszelkie inne niemieckie loterye jest wzbronioną.

Panu Z. N. w Wronkach. — „Wiarus“ w Bochum. Nadto wychodźcy czytają gazety z Księztwa, Prus i Ślązka, a nasza „Praca“ ma na obczyźnie bardzo licznych zwolenników i przyjaciół.

Pani S. N. w K. — Z nadesłanych

żartów ani jeden nie nadaje się do druku w „Pracy.“

Turyście. — Niechaj Szan. Pan przejrzy ostatnie katalogi literatury turystycznej, a znajdzie żądane przewodniki do całej grupy przytoczonych miast.

Panu Fr. M. w Skarlinie, Pr. Zach. Już nie wychodzi.

Panu Stanisławowi O. w Poznaniu (na Wildzie.) — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

Odezwa

Polaków katolików miasta Wrocławia i okolicy.

Czując się dotkniętymi w naszych najświętszych uczuciach listem pasterskim Jego Eminencyi Ks. Kardynała Koppa i jego zastosowaniem przez księży giermanizatorów, zwołują niżej podpisani wiec polsko-katolicki na niedzielę 19-go b. m. o godz. 4-tej po południu do Casino przy Neue Gasse nr. 22 I, aby zająć stanowisko nie tylko wobec wystąpienia Ks. Kardynała, ale i wobec niesprawiedliwego traktowania nas przez władze kościelne w sprawach religijnych. Ponieważ sprawa ta powinna każdemu Polakowi na sercu leżeć, spodziewamy się, że rodacy najliczniejszym współudziałem poprą nasze intencye.

Wrocław 6 lipca 1903.

Wacław Zakrzewski. Władysław Kubiaczyk. Marceli Kliszewski. Stanisław Hamulski. Marcin Kaczmarek. Mikołaj Macioszek. Ludwik Adamczewski. Marceli Przybylski. Antoni Gidaszewski.

Rozmaitości.

Majątek Europy.

Bogactwo Europy w początkach dwudziestego wieku oblicza p. Mulhal w artykule, umieszczonym w „Dictionnarry of Statistics.“ Całe bogactwo Europy w ruchomych i nieruchomych kapitałach wynosi według jego obrachunku 1,175 miliardów; ruchomy kapitał 500 miliardów. Bogactwo Anglii w ruchomych i nieruchomych kapitałach wynosi 275 miliardów, Francyi 247, Niemiec 201, Rosyi 160, Austryi 103, Włoch 79, Belgii 25, Holandyi 22.

Ruchomy kapitał Anglii wynosi 106 miliardów, Francyi 65, Niemiec 37, Rosyi 14, Austryi 10, Włoch i Belgii po 7, Holandyi 6.

Z całego bogactwa w ruchomych i nieruchomych kapitałach przypada na każdego Anglika przeciętnie 5,920 m., na Francuza 5,200, na Holenderczyka 3,680, na Belgijczyka i Niemca po 3,120, na Austryaka i Włocha po 2,000, na Rosyanina po 1,200 m.

Z ruchomych kapitałów przypada na każdego Anglika 2,120 m., na Francuza 1,360, na Holenderczyka 1,000, na Belgijczyka 855, na Niemca i Włocha po 560 m., na Rosyanina 115 marek.

Obciążanie budżetu rozmaitych państw Europy tak podaje autor owego artykułu w liczbach okrągłych: w Niemczech 4 miliardy, przeto 2 procent całego bogactwa, w Anglii 3 miliardy, czyli 1 procent, we Francyi $3^1/_2$ miliarda czyli 1.4 proc., w Rosyi 2.7 miliard. czyli 1.7 proc., w Austryi 2.7 miliard. czyli 2.3 procent, w Belgii 373 miliony czyli 1.5 procent, i w Holandyi 300 miliony, czyli 1.4 procent.

Groźne przepowiednie.

Uczeni suszą sobie głowy nad rozwiązaniem kwestyi opału, gdy w przyszłości z powierzchni ziemi znikną lasy, a z wnętrza jej wydobyte zostaną ostatnie zapasy węgla. Profesor norweski Birkedal grozi nam gorszą daleko klęską i to w niedalekiej już przyszłości. Uczony ten stwierdził, iż słońce przesyła nam coraz mniej światła, a na zasadzie swego spostrzeżenia utrzymuje, że jeśli słońce nie otrzyma jakich niespodziewanych posiłków, to przed upływem wieku przestanie nam przyświecać. Złowrogą tę przepowiednię popiera i inny uczony, profesor Mohn, rywalizujący z Birkedalem. Niedawno temu miał prof. Mohn wykład publiczny w Chrystyanii i przekonywał swoich słuchaczów poważnemi argumentami, że ostatnie zjawiska meteorologiczne potwierdzają w zupełności smutne przewidywania tego uczonego. Potomstwo nasze będzie zatem świadkiem nadzwyczajnych wypadków, o ile sprawdzą się zapowiedzi prof. Mohna.

Światło podmorskie.

Dwaj Amerykanie Banrick i Francis Hall wynaleźli lampy, służące do oświetlenia głębin morza. Jest to pierwszy wynalazek w tym kierunku. Czyniono próby w porcie Brooklinu, a także na łodziach rybackich przy wybrzeżach Kalifornii. Obie próby wypadły pomyślnie,. zwłaszcza ostatnia tak dalece, że spodziewany jest przewrot w całym systemie rybołówstwa. Pewien przedsiębiorca zbudował cztery łodzie po 75 metrów długości, zaopatrzone takiemi lampami, każda z nich ma siłę światła, wyrównywającą 1,000 świec woskowych. To oświetlenie barwy fioletowej, odznacza się jeszcze tą właściwością, że ogłusza ryby... Co z tego wyniknie, zobaczymy.

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“

Kwity na „Pracę“ i Czytelnią Polską“ na bieżący kwartał są zamieszczone na osobnej stronie pod okładką.

Dział kobiecy.



Romansowa rodzina.

Nieszczęścia w pożyciu małżeńskiem obecnego następcy tronu saskiego nie są w tej panującej rodzinie nowością i historya nader ciekawe przekazuje nam w tej mierze wspomnienia.

Sądzić należy, że dla biednego — podwójnie ukoronowanego — małżonka niejaką pociechą to być powinno.

I tak dom Wettinów odznaczał się romantycznem usposobieniem od najdawniejszych czasów. Już w 13-ym wieku margrabia Albrecht, ożeniony z Małgorzatą austryacką, zakochał się w Kunegundzie v. Eisenberg, żonę uwięził w Wartburgu, gdzie też 1207 r. umarła, ożenił się z kochanką, z którą pierwej miał już syna. Henryk, jego poprzednik, pojął w trzeciem małżeństwie Elżbietę v. Metlitz, córkę szlachcica nadwornego.

Książe Wilhelm z sasko-weimarskiej linii także z księżniczką austryacką ożeniony, rozwiódł się z nią i ożenił z swoją metresą, piękną Brandenstein.

Jan Jerzy IV-ty zakochał się w pierwszej młodości w młodziutkiej Magdalenie Sybilli v. Niedschütz i nie chciał się żenić z wybraną mu przez ojca Eleonorą margrabiną v. Ansbach. Posyłano młodego księcia na obce dwory, kazano odbywać dłuższe podróże w latach 1685 1690. Wstąpiwszy na tron ożenił sie wprawdzie w 1692 z wymienioną margrabiną, a kochankę ze dworu wydalił, ale w parę dni po ślubie powrócił do niej, wyrobił tytuł hrabiny v. Rocheitz i twierdził, że nigdzie w biblii niema zakazu posiadania dwóch żon współcześnie.

Niestety piękna hrabina umarła na ospę w 20 roku życia. Strapiony kochanek pochował ją z całą okazałością w kościele św. Zofii, gdzie spoczywają członkowie saskiej rodziny i sam z rozpaczy niedługo później w wieku lat 26 umarł.

Córka ze związku tego pochodząca wyszła za Dunina kasztelana radomskiego, zmarłego w 1736 r.

Nasz August mocny, będąc jeszcze następcą tronu, polecił ciało jej z grobów królewskich wydobyć i gdzieś za miastem około Drezna potajemnie pochować, w przekonaniu, że czarownicą być musiała. Nie przewidział, że nieraz podobnym czarom kobiecym w życiu ulegnie i że na miano ukoronowanego Don-Juana zasłuży.

Także i kobiety z tego domu mają historyę. Anna, córka Maurycego, kurfürsta saskiego, wyszła w roku 1561 za księcia Wilhelma z Oranii. Po 13 latach małżeństwa, pobłogosławionego synem i dwiema córkami, odesłał ją mąż do Frankfurtu, trzymał czas jakiś w więzieniu, tak źle się prowadziła. Zmarła młodo, bo w 31 lat, w Dreźnie pochowana w dwa dni później bez żadnej pompy, w dn. 20 grudnia 1577.

Najbardziej romantyczną jest jednak historya najstarszego brata, panującego księcia saskiego Fryderyka dobrodusznego.

Zakochawszy się w zakonnicy, zrzeka się korony i osiada sam jako zakonnik w Mildenfurt, klasztorze, połączonym — jak niesie tradycya — podziemnym chodnikiem z sąsiednim, gdzie bawiła panna v. Lohne, bo tak nazywała się wybrana serca. W końcu wykrada ją i rości pretensye do prawego dziedzictwa. Bracia jednak osadzają go w więzieniu, wypuszczają po paru latach, robią biskupem w Würzburgu (1440), ale tak rozpustne prowadzi życie, że go trzeba było ponownie uwięzić, tembardziej, że wznawiał ustawicznie swoje do tronu pretensye. Piękną zakonnicę miano zamurować żywcem w klasztorze w Weida.

Jeżeli wspomnimy Fryderyka Poważnego, który Juttę, córkę Jana króla czeskiego parę dni po ślubie ojcu odesłał Albrechta rozwiedzionego, a w końcu wsławionego naszego Augusta Mocnego i wnuka jego ks. Karola, ożenionego z Franciszką Krasińską, przekonamy się, iż świat w niczem się nie zmienił, a namiętności ludzkie zawsze dominującą rolę odgrywały.

St. Mor.

Babskie rządy.

Daleko od hałasu i gorączki wielkich miast, w najodleglejszym zakątku South Pembrokshire, leży słynna w okolicy ze swej hodowli ostryg, wioska Langun. Mieszkańcy tego ustronia mają typ całkiem oryginalny i własne prawa; wykluczają wszystko, co obce — i gardzą całym światem, leżącym poza ich granicami.

Mężczyzna w tej wiosce nie rządzi i od niepamiętnych czasów nie rządził, a zawsze podlegał władzy białogłowskiej — i nie ma żadnego prawdopodobieństwa, żeby to się kiedy odmieniło. Dotąd jeszcze nigdy niezadowolenie spokoju nie zmąciło. Wszędzie widać zwierzchność kobiet. Na skalistem wybrzeżu widać kobiety, które przybijają i odbijają od brzegu; same zarabiają na życie rybołóstwem. Kobieta troszczy się o gospodarstwo, wskazuje towarzyszowi roboty domowe i wprowadza go na drogę, którą ma dążyć. Gdy się w karczmie siedzi i pyta, do kogo ten lub tamten dom należy, albo kto stoi przy beczułce i piwo pije, słyszy się odpowiedź: to jest mąż Anny Palmers, albo Sary Margans.

System ten bardzo dobrze się powodzi; małżonek nie żąda współczucia i nawet-by nie był za nie wdzięczny. Gdy wieczorem stanie na progu domku swej żony, a dzieci bawią się koło niego, podczas gdy jego żona z córką rachują zarobiony grosz, nie dokucza mu żaden wewnętrzny niepokój.

Pozbawiony wszelkiej odpowiedzialności za życie, jest równie spokojny jak ostrzyga, która rozniosła sławę jego wioski rodzinnej Moda w Langun nie egzystuje, a jednak nie brak córkom Ewy w krótkich czystych spódnicach flanelowych, bezkształtnych kapeluszach i niezgrabnych trepkach — uroku. Mają jasną cerę, jasne oczy, piękne rysy, silną budowę, wysoki wzrost i dumną postawę; rybaczki i handlarki ostrzyg są najbardziej poważnemi osobistościami w całym Langun.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Co robić, aby się zboże nie wyradzało.

Dobry gospodarz już w czasie żniwa myśli o zasiewach i najdorodniejszy kawałek łanu, ze zbożem, niewyłożonem, o ciężkich kłosach, przeznacza na ziarno siewne i zbiera starannie osobno. Jeżeli ma jakąś nową odmianę, która się dobrze udała i okazała się plenną, to radby ją w tej plenności utrzymać jak najdłużej, bo coroczne zakupywanie dobrego ziarna do siewu drogo kosztuje, a przytem nie zawsze jest się pewnym, czy kupiony gatunek zachowa dłużej swoje dobre przymioty, czy nie straci plenności po roku lub dwóch latach. Bardzo często bywa tak właśnie, że nowa odmiana bardzo chwalona, skoro przyjdzie na gorzej uprawną ziemię, albo w zimniejszą lub suchszą okolicę, to w pierwszym roku da dość dobry plon, ale już w następnym wyradza się, kłosy maleją, ziarno jest cienkie, a plon coraz lichszy. Trzeba pamiętać o tem, że każdy gatunek zboża tylko wtedy zachowa stałe swoje przymioty, jeżeli jest dobrze dostosowany do miejscowej uprawy, gleby i położenia. Jeżeli weźmiemy gatunek wychowany na bardzo żyznej roli w ciepłej okolicy, a zasiejemy go w górach albo na roli piaskowej, to wkrótce się tam wyrodzi. I na odwrót, jeżeli siać będziemy dobrą odmianę górską na rolach żyznych w dolinie, to może zanadto wybujać w słomę i wylegnie. Najpewniejsze zatem ziarno do siewu będzie to, co w podobnej okolicy i na takiej samej lub podobnej glebie zostało wychowane.

Przy pewnej staranności może sobie gospodarz sam dobrą odmianę zboża wychować, jeżeli się do tego brać umie i trudu nie szczędzi.

Gdy jakaś odmiana zboża lepsza, nowo sprowadzona, uda się dobrze przez dwa lata, to można ją sobie przyswoić, ustalić, aby się nie wyrodziła, a nawet lichą odmianę własną można po kilku latach ulepszyć znacznie. Trzeba się do tego brać już w chwili żniwa.

W czasie żniwa ze stojącego jeszcze zboża, postępując przed żniwiarzami, albo też z użętych już snopków, wybiera się najdłuższe i najpełniejsze kłosy. Można do tego przyuczyć dzieci, które mają właśnie wtedy wakacye; kłosy te same tylko najdorodniejsze ucina się z kawałkiem źdźbła i wiąże się je w pęczki, a w domu zawiesza, aby dobrze wyschły: po wysuszeniu, wymłaca się ziarno we woreczku lub płachcie i ręcznie przebiera co najgrubsze i najdorodniejsze, wszystkie zaś małe, źle ukształcone ziarnka odrzuca się precz. Z takich to najdrodniejszych kłosów najdrodniejsze ziarna używa się dopiero do zasiewu, siejąc wcześnie, rzadko, na osobnym, dobrze wyczyszczonym, a nie zanadto bujnym kawałku pola, w rzędy rzadkie, na 20 ctm. odległe, i w roku następnym po starannem oplewieniu i okopaniu w ciągu wiosny zbiera się to zboże osobno, aby znowu wybrać kłosy najdorodniejsze, a z nich ziarno najlepsze.

Wystarczy w roku pierwszym wybrać choćby jeden litr ziarna z najdorodniejszych kłosów, a w roku następnym można przy starannej uprawie mieć już z tego pięć garncy dobrego ziarna, co już wystarcza do obsiewu rzędowego na ćwierci morga doborowem ziarnem. Warunkiem jest jednakże, aby siać rzadko, w rolę czystą, rzędową i oplewiać. Z tych zebranych osobno 5 garncy wybrać znowu najdrodniejsze kłosy i ziarno i zasiać osobno, a resztę pozostałą wymłócić i siać jak zwykle. W ten sposób stale postępując, można każdą prawie odmianę zboża nietylko od wyradzania się ochronić, ale nawet ulepszyć bardziej w ciągu 3 do 4 lat. Polka osobne, na których zasiewa się wybrane ziarno, nazywamy szkółką zbożową, bo zboże się niejako na niej wychowuje; najlepiej zakładać je gdzieś niedaleko od domu, na równych i wyczyszczonych kawałkach. Po trzech lub czterech latach ulepszania przez taki wybór kłosów i ziarn, może mieć gospodarz nietylko na własny użytek dobre ziarno na zasiew, ale i innym odsprzedawać może na dalsze rozmnożenie, po wyższej cenie, niż targowa, aby mu się trud opłacił. Każdy przekonawszy się o plenności ulepszonej odmiany, chętnie za nią drożej zapłaci. Raz zacząwszy takie ulepszenie trzeba je dalej prowadzić co roku, by zawsze mieć owo najdorodniejsze ziarno na obsiew szkółki, z najpiękniejszych kłosów. Takie ulepszenie zbóż, przez wybór najpiękniejszych kłosów, było za dawnych czasów w Polsce całej przyjęte i uświęcone pięknym zwyczajem wicia wieńców na święto Matki Boskiej zielnej (15 sierpnia.) Wybierano najdorodniejsze kłosy z najładniejszego kawałka pszenicy i wito z nich duże wieńce, a potem ziarno z wieńca święconego wykruszone, służyło na zasiew. Dziś zwyczaj wicia wieńców pozostał, ale zniknęło już jego dawne, rolnicze znaczenie.

Majoraty w państwie pruskiem.

W ogłoszonem uzasadnieniu tymczasowego projektu ustawy o majoratach znajduje się poniższy wykaz majoratów w państwie pruskiem:

	Hektarów.	Procent ogółu obsz
Prusy Wschodnie	128 870,0	3,48
Prusy Zachodnie	91,125,4	3,57
Brandenburgia	310,032,0	7,78
Pomorze	213,262,6	7,07
Księstwo Pozn.	183,240,2	6,33
Śląsk	590,834,8	14,65
Saksonia	122,513,1	4,85
Szlezwik-Holsztyn	142,576,5	7,50
Hanower	75,665,2	1,96
Westfalia	153,191,4	7,58
Prow. hesko-nasauska	74,705,2	4,76
Prowincya nadreńska	72,506,1	2,69
Księst. Hohenzollern	18,624,9	16,49

W tym wykazie są zawarte majoraty koronne i majoraty 24 członków domów panujących, obejmujące ogółem 198.711 hektarów, oraz majątki 38 niemieckich panów stanu (deutsche Standesherren), obejmujące 258,967 hektarów. Tych majątków nie obejmuje projekt ustawy.

Więcej niż połowę istniejących majoratów z przeszło dwiema piętemi częściami ich obszarów założono dopiero w drugiej połowie ostatniego stulecia. Na końcu roku 1900 było 29 majoratów, obejmujących po 10.000 hektarów i więcej, 58 po 5.000 ha, 185 po 2000 do 5.000 ha, 226 po 1.000 do 2.000 ha, 236 po 500 do 1000 ha, 204 po 200 do 500 ha, 62 po 100 do 200 ha, 102 obejmujące mniej niż po 100 ha. Największych majoratów, obejmujących po dziesięć tysięcy hektarów i więcej jest 13 na Śląsku, 5 w Brandenburgii, 4 w Westfalii, 3 w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, po jednym w Prusiech Zachodnich, na Pomorzu, w prowincyi szlezwicko-holsztyńskiej i w księstwie Hohenzollern. Majoratów, obejmujących po 5000 do 10.000 ha, jest 15 na Ślązku, 8 w Brandenburgii, 6 w Westfalii, 5 w Księstwie Poznańskiem, po 4 w Prusach Wschodnich, w Prusach Zachodnich i w prowincyi szlezwicko-holsztyńskiej, po 3 na Pomorzu, w prowincyi hesko-nasauskiej i w prowincyi nadreńskiej, 2 w prowincyi hanowerskiej.

Dodatek Humorystyczny.

Osierocony.

(Monolog kmiecia.)

Wchodzi, ocierając oczy załzawione.

Doloż moja, biedna dolo!
Śmierć zajrzała w moje wrota!
Co ja tera biedny pocznę?
Nieszczęśliwy jam sierota!

Niemasz dla mnie pocieszynio,
Oj, dotknęło ci mnie srodze...
(z wybuchem płaczu)
Zmarło ci się, już cię niema,
Mnie zaś aż ćmi po niebodze!

Miałemże ja z niej pociechę...
Dzisiaj w srogiej tonę trosce...
A dyć była najładniejso
W calusieńkiej naszej wiosce!

Kiej bywało bez wieś idę
Ona przy mnie, taka gładka,
To somsiady się dziwują:
— Grzeli idzie kiejby z płatka.

Ma hrabinę, ma księżniczkę,
Jestci patrzeć na co przecie! —
Takiej drugiej jako ona
W całkim świecie nie znajdziecie...

Co jo tera robić bandę?
Moi ludzie, bracia moi!
Człek kiej wspomni na sieroctwo
To się do dom wracać boi.

Takie pustki, cichość taka!
Z nią ci doma było błogo...
Ni zagadać, ni pogłaskać,
Ni popieścić nie ma kogo...

Kto nakarmi moje dzieci,
Kto na gumnie mnie przywita?
Jezdem tera sam kiej palec,
Nieszczęśliwym ja... i kwita!

Bez cóż ty mnie opuściłaś,
Smutku mi zesłałaś chmurę?
Dzisiaj tyla jest pociechy
Że cię kupi Srul na skórę.

Oj, krowusiu najmilejso,
Łzy mi dziś za tobą cieką...
Takie biołe, takie tłuste,
Smaczne było twoje mleko.

Koniczyny się obiadłaś...
A gadołem, że nie zdrowo...
Jam przez ciebie kiejby gdowiec
Najmilejso moja krowo!

Działo się w zachodnich Stanach półn. Ameryki.

— Jakże tam idzie?

— Wcale nieźle: miałem właśnie wykarczować las, gdy przyszedł cyklon i powyrywał drzewa. Nie na tem koniec. Miałem spalić drzewa, kiedy uderzył piorun i oszczędził mi fatygi. Teraz oczekuję trzęsienia ziemi, żeby mi wytrzęsło kartofle z ziemi.

Adwokat bez praktyki.

Pewien młody adwokat bez praktyki, poznawszy na balu śliczną posażną jedynaczkę z najlepszego towarzystwa, tak się w niej zakochał, że nim tydzień minął, prosił o jej rękę. Ojciec panny wypytywał się go, jakie ma widoki na przyszłość.

— Na teraz żadnych — odpowiedział adwokat, ale jak mój wuj umrze...

— A! jak pański wuj umrze — odparł starzec, dzwoniąc na służącego. — Janie, wyrzuć tego pana za drzwi, póki mu wuj nie umrze.

W sezonie.

Izydor. Słuchaj-no, Szmul, ty podobno pijesz teraz jakąś mineralną wodę, jaką ty pijesz?

Szmul. Ja piję taką, co to ani stoi, ani szedży, ani chodży...

Izydor. Pewno Vichy!

Szmul. Nu tak, taką wodę, co wiszy.

* * *

Fraszki.

Upał rzeszę praży
Dżdżu kropelki głodną,
W skwarze człek się smaży,
A *jemu* jest... chłodno!

Jasny dzień przyświeca,
On zaś wzorem zbiega
Ciągle hałas wzniecą:
Że świat... noc zalega!

„Białe" — mówią ludzie,
„Białe" — najwyraźniej...
On w myśli obłudnie
„Czarnem" wszystkich drażni...

Umarł ktoś niezbicie...
Już go ziemia kryje!
A *on*? Jak myślicie?
Krzyczy: — Kłamstwo! Żyje! —
Ziemia koło toczy,
Jak widzisz na globie,
On — przymknąwszy oczy,
Woła: — Stoi sobie' —

Cóż to za istota
Ów mąż, pełen swady
Z cechami pierrota?

. . . .

Oponent z zasady'

* * *

Z pamiętniczka naiwnej.

W podróży.

Byliśmy sami w pustym wagonie...
On mnie ogarniał wzrokiem, co płonie...
Młodzieniec dziwny, dystyngowany,
Choć mi nie znany, już pokochany.

Drżąca przy oknie stałam na stronie...
On mnie ogarniał wzrokiem, co płonie...
Zmrużyłam oczy... Dziwna pokusa...
Ach! teraz pewnie skradnie całusa!...

Gdy otworzyłam, już go nie było!...
Zniknął jak mara... Serce zabiło —
Zniknął, — dopełnił zawodu miarek:
Zamiast całusa, skradł mi zegarek.

Pani i kucharka.

— Marysiu, czy znasz jaką dobrą kucharkę?

— Znam, proszę pani.

— Czy umie gotować, jest pracowitą, łagodną, trzeźwą?

— Tak, proszę pani.

— To jej powiedz, żeby tu przyszła za tydzień. Zajmie twoje miejsce.

Rozwiązanie.

— Skończyłeś powieść?

— Skończyłem,

— I jakież rozwiązanie? Wesołe, czy smutne?

— Smutne. Rękopis mi zwrócono...

Hojny pan Izydor.

— Mój Izydorku, chciałabym koniecznie na dzisiejszym balu urządzić kotyliona z podarkami, tak, aby każdy z naszych gości coś dostał.

— Bądź spokojna, Reginko! Już ja o tem myślałem. Ja wszystkich gości przeprowadzę w kotylionie przez balkon otwarty, to każdy z nich dostanie kataru.

Dział powieściowy.

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

4)

(Ciąg dalszy.)

— Ale musisz przecież uznać, jak ciężką mi wyrządzasz krzywdę! Jakiem prawem trzymasz mnie w tem dziwnem więzieniu? Pozwól mi wyjść ztąd, a będę ci wdzięcznym aż do śmierci i zapomnę, że z twego powodu zaniedbałem wszystkie moje obowiązki....

— Dosyć tego, — zawołała Fedora błagalnie. — Ja przyszłam tu, aby ci powiedzieć, że cię kocham, Henryku! Ach, ja cię pokochałam w pierwszej chwili naszego poznania się! Pamiętasz, wówczas na balu dworskim w Wiedniu? Tańczyłeś ze mną.... o, tego nigdy w życiu, nigdy nie zapomnę!

— Dawne to czasy!

— A mnie wszystko tak żywo stoi w pamięci! Ale mniejsze o to! W każdym razie nie prędzej wyjdziesz z tego więzienia, dopóki mi nie przysięgniesz, że się ze mną ożenisz!

Henryk roześmiał się szyderczo.

— I ty myślisz, — zawołał, — że dlatego, że jesteś księżniczką, zmusisz serce moje do miłości dla ciebie! O, biedna, zaślepiona dziewczyno! Wiedz, że miłość, która nie dobrowolnie panuje w duszy człowieka, nie jest miłością! To jest poprostu kłamstwem! Gdybym ja ci teraz powiedział: — kocham cię Fedoro, — to kłamałbym i zasługiwałbym na twoją pogardę!

— Ale czemu ty mnie kochać nie chcesz lub nie możesz? Wszakże jestem młodą piękną, i królowie ubiegaliby się o moje serce!

Fedora stała z załamanemi rękami, z oczu jej spływały gorące łzy, a głos drżał od tłumionej rozpaczy. Dzika ta natura nie znała granic ani w nienawiści, ani w miłości.

Henrykowi żal jej było, ale nawet kosztem upragnionej wolności nie byłby za nic w świecie wymówił słowa nieprawdy.

— Powiem ci, — rzekł otwarcie, — dla czego cię kochać nie mogę, dla czego wolę umrzeć samotny w tym domu, niż skłamać! Może to wzruszy serce twoje. W duszy każdego człowieka jest przecież odrobina litości i miłosierdzia! Otóż kocham — inną — jestem zaręczony, i moja narzeczona kocha mnie również z całego serca. Ona nie jest księżniczką tak jak ty, korona nie zdobi jej głowy — przed kilku nawet tygodniami nikt o jej istnieniu nie wiedział, śpiewała po ulicach i domach, zarabiając w ten sposób na chleb dla chorej matki i dla siebie. Żebrała po prostu. Ale ta żebraczka stoi dziś na tronie, którego żaden nie zbudował król, a który przecież wspanialszym jest, niż wszystkie inne trony. Ona jest artystą, śpiewaczką...

— Jak się nazywa twoja narzeczona? — zapytała Fedora na pozór spokojnie.

— Teresa Krones!

— Ach! — krzyknęła teraz Fedora gwałtownie, — ty śmiesz mówić mi o twej miłości, śmiesz stawiać wyżej odemnie komedyantkę jakąś, żebraczkę! Zapisałam sobie w sercu ognistemi literami nazwisko tej aktorki, Teresa Krones — oh, nie zapomnę go nigdy. Ale biada jej, jeżeli ją kiedykolwiek w życiu spotkam!

— Tego się nie obawiam, — rzekł Henryk, — Teresa jest przed tobą bezpieczna! Żyje ona w Wiedniu, a tam nikt nie pozwoli wyrządzić jej krzywdy. Tam się wszyscy nią opiekują, do Rosyi zaś ona nie przyjedzie! Teraz zostaw mnie samego, księżniczko, nie poniżaj się przedemną. Teresa żebrała wprawdzie o pieniądze, bo potrzebowała ich dla matki — taka żebraczka jest wzniosłą i szlachetną, ale ty żebrzesz o miłość, a to jest dla kobiety co najmniej poniżającem!

— Milcz! Czy chcesz, abym zmysły straciła? Ach, ty nie wiesz, że ja cię kocham, więcej, niż świat cały, niż życie! Zrzucę koronę z głowy, będę pracowała dla ciebie od rana do nocy, będę żebrała, tak, jak owa Teresa, tylko powiedz mi, że mnie kochasz!

— Nigdy! Kocham Teresę a tobą — gardzę!

Fedora krzyknęła, zakryła twarz rękami i upadła na kolana. Rozpacz jej straszną była i Henryk szczerze się nad nią litował. Ale za nic w świecie nie byłby złamał przysięgi danej Teresie.

W tejże chwili padł w przedpokoju strzał — przerażający okrzyk rozległ się w pustym domu i zaraz potem zaczął ktoś silnie uderzać we drzwi.

Fedora zerwała się i stała blada, jak trup na środku pokoju.

— To Rustan — wyjąkała, — Rustan — zamordowano mi mego wiernego sługę!

— Zamordowano! — odezwał się teraz Wielki książę, otwierając przemocą drzwi, — tak jest, zastrzeliłem stróża twoich występków, ty bezwstydna dziewczyno! Ładny widok przedstawia się moim oczom! Księżniczka Fedora, kochanka polskiego spiskowca!



Ojcze! Ojcze! — krzyknęła Fedora, rzucając się na kolana przed księciem — zabij mnie, jeżeli chcesz, ale jeemu pozwól żyć, bo on jest niewinny!

— Ojcze! Ojcze! — krzyknęła Fedora, rzucając się na kolana przed księciem, — zabij mnie, jeżeli chcesz, ale jemu pozwól żyć, bo on jest niewinny!

Książę jednak wcale na córkę nie raczył spojrzeć.

— Zawołaj żandarmów, baronie Bondi, — rzekł do swego towarzysza, — ja tej dziewczyny odtąd nie znam! Shańbiła moje imię, stała się niegodną swej rodziny. Więc to taką była nienawiść twoja dla Polaków, — dodał śmiejąc się złośliwie, — w taki to sposób służyłaś twojej ojczyźnie? Ukryłaś twego kochanka w tym ustronnym domie — Polaka — ha, ha, to wyborne! Za to pójdziesz na Sybir, moja droga! Przestałaś być moją córką, ukarżę cię więc tak, jakbym ukarał pierwszą lepszą — ulicznicę.

Bondi wyszedł, a towarzyszyło mu spojrzenie Fedory, pełne nienawiści i mściwości.

— Dobrze, — rzekła Fedora spokojnie, — pójdę na Sybir, i zniosę wszystko, ale nie karz ojcze hrabiego Orszańskiego. Przysięgam, że on jest niewinnym! Przemocą umieściłam go w tym domu, on jednak wcale mnie nie kocha i odepchnął moją miłość! Wyznaję to otwarcie, chociaż czuję się głęboko upokorzoną! Może cię to wzruszy i przebłaga, ojcze!

— Nie mam litości dla Polaków, — krzyknął książę rozgniewany, — są to wszystko nieprzyjaciele Rosyi. Nie chcą uznać cara, myślą ciągle o odzyskaniu niepodległości i są pod każdym względem bardzo niebezpieczni! Jeżeli mi dasz słowo, — dodał, zwracając się do Henryka, — że nie należysz do związku tak zwanych „niepodległych,“ że jesteś zadowolonym z obecnego położenia Polski, że uznajesz cara, to polecę cię carowi, wystaram ci się o wysoki urząd, dam ci córkę i ogromny majątek, i zrobię cię jednym z najpotężniejszych w państwie. No i cóż, możesz mi dać słowo?

— Powiedz „tak,“ zawołała Fedora błagalnie, — powiedz, ratuj siebie i uczyń mnie szczęśliwą!

— Dajesz mi słowo? — powtórzył książę szyderczo.

Zamiast odpowiedzieć, odsunął Henryk rękaw z lewego ramienia i pokazał księciu dwie wypalone litery: N. i P.

— Ach — niepodległość Polski! Wiedziałem! — zawołał książę.

— Tak jest! — odrzekł Henryk.

— Nieszczęśliwy, co robisz! — krzyknęła Fedora. — Teraz jesteś zgubionym!

— Bez ratunku, — dodał książę, idąc do drzwi i otwierając je szeroko. — Hej, żandarmi, okuć tego człowieka w kajdany i do cytadeli odstawić. Za kilka dni ściąć mu głowę!

Bondi pierwszy zbliżył się do Henryka, schwycił jego ręce i włożył na nie kajdany. Twarz tego nędznika najwyższą jaśniała radością.

— To — za Teresę, — szepnął, — a zanim głowa twoja spadnie na rusztowaniu, będzie Teresa moją!

— Łotrze!

Jedyne to słowo wymówił Henryk z niezmierną pogardą i odwrócił się. Żandarmi włożyli mu kajdany na nogi tak, że ledwie się ruszyć mógł i prowadzili go do drzwi.

W tej ostatniej chwili rzuciła się Fedora raz jeszcze ojcu do nóg.

— Zabijesz go! — wołała z najwyższą rozpaczą, — zabij mnie więc razem z nim! Zamknij mnie z nim w okropnem więzieniu — ale ja nie chcę żyć bez niego! Słyszysz ojcze? Ja nie chcę żyć, jeżeli on umrze!

— Będziesz żyć, — odrzekł książę, drżąc z gniewu, — ale na Sybirze! Precz z nią! Okujcie ją także w kajdany! To jest moje ostatnie słowo!

Co się działo w duszy okrutnego tego człowieka, któż to odgadnie! Czy cierpiał bardzo, wydając ten straszny wyrok na jedyną córkę, czy gniew zabił w nim wszelkie inne uczucia. — — Dosyć, że pozornie był spokojny i wbrew swoim zwyczajom, nie unosił się wcale i nie krzyczał!

— Niechże się Wasza książęca Wysokość da przebłagać, — odezwał się teraz Bondi. — Wszakże to bądź co bądź córka Waszej książęcej Wysokości!

— Bądź przeklętym, baronie Bondi, — krzyknęła Fedora. — Nie proś o łaskę dla mnie — wstydziłabym się przyjąć przebaczenie ojca, gdybym je tobie, nędzniku, zawdzięczać miała! Teraz chcę żyć i będę żyć — bo muszę sie zemścić na tobie. Zobaczymy się jeszcze raz w życiu!

— Dalej, dalej, — upominał książę. Zdawało się, że głos jego drży nieco.

Żandarmi ujęli kajdany, ale Fedora cofnęła się żywo.

— Nie, — rzekła wyniośle, — księżniczka rosyjska nie może być okutą w łańcuchy, jak jaka zbrodniarka. Daję słowo, że pójdę dobrowolnie!

Książę skinął ręką i smutny pochód ruszył ku drzwiom. Fedora spojrzała raz jeszcze na Henryka i na barona Bondi, i dumna, nieugięta, jak prawdziwa księżniczka, wyszła z pokoju.

Za nią szło dwóch innych żandarmów z Henrykiem.

Gdy Fedora zeszła do sieni, ujrzała tam leżącego na ziemi i krwią zbroczonego, umierającego Rustana. Na widok ukochanej swej pani, podniósł starzec z trudnością głowę i szepnął:

— Dotrzymałem słowa — po mojem ciele — weszli — do pokoju......

Kula księcia przeszyła mu pierś na wylot i nieszczęśliwy żył tylko jeszcze kilka minut.

Fedora błędnemi oczami wpatrywała się w siną twarz wiernego sługi, a w sercu jej jedno tylko panowało uczucie: chęć zemsty!

— Pomszczę się, — szepnęła, — pomszczę się krwawo! Przysięgam!

ROZDZIAŁ VI.

Teresa odważa się na wszystko z miłości dla Henryka.

— Czy pani wiecznie będziesz opłakiwać Henryka Orszańskiego? Czy łzy twoje nigdy płynąć nie przestaną? — pytał dyrektor Rajmund Teresy.

— Nigdy! — odrzekła młoda dziewczyna, przyciskając chusteczkę do oczu. — Jakżebym miała zapomnieć tego, którego tak gorąco ukochałam! I wiem, że go już nigdy nie zobaczę! Szlachetność jego i dobroć popchnęły go do zguby — na dnie Dunaju spoczywa jego ciało!

I wielkie łzy spłynęły po słodkiej twarzyczce Teresy, a Rajmund patrzał z prawdziwą litością na gwiazdę swej sceny, na ogólnie uwielbianą artystkę.

Teresa zyskała rzeczywiście od razu całą sympatyą Wiedeńczyków. O Cezarynie zapomniano bardzo prędko, Teresę zaś wszyscy ubóstwiali. Ile razy występowała, był teatr zawsze przepełniony, a dyrektor Rajmund, który zawsze walczył dotychczas z długami, miał teraz świetne dochody.

I wszystko to zawdzięczał jedynie Teresie.

Ale pominąwszy dochody, polubił on niezmiernie tę dobrą, niewinną i piękną dziewczynę i starał się okazać jej przy każdej sposobności swoją serdeczną sympatyą. Bolało go to szczerze, że podczas kiedy Teresa jemu tysiące przynosiła, czuła się sama tak bardzo nieszczęśliwą, i gdy się na scenie śmiała, było serce jej głęboko zakrwawionem.

Położenie majątkowe Teresy bardzo teraz było korzystnem. Z wielkiej nędzy przeszła do wszelkich wygód, jakich za pieniądze nabyć można. Zamieszkiwała mały domek nad Dunajem, w blizkości opery. Ładny ogród otaczał jej mieszkanie, najchętniej też w nim przebywała, wpatrując się godzinami w bystre fale rzeki. Zdawało jej się wtedy że patrzy na grób ukochanego.

Rajmund płacił jej czterysta guldenów miesięcznie, co na owe czasy bardzo wysoką było sumą, ale gniewał się często na nią o to, w jaki sposób ona tyle pieniędzy wydawała.

— Przyniosłem pani resztę gaży, — rzekł teraz, wyjmując z kieszeni paczkę banknotów. — Nie ma jednak więcej jak sto guldenów. Trzysta już pani znowu zmarnowałaś! Nie mówię, jeżeli mi przyślesz jakiego chorego — takiemu ja sam chętnie daję, ale żeby znowu każdemu żebrakowi dawać kwit do mnie i to zaraz na parę guldenów — nie, to już marnotrawstwo!

— Są to wszystko biedni, nieszczęśliwi ludzie, — odpowiedziała Teresa łagodnie, — otrzymuję codziennie tyle listów z prośbą o wsparcie! A że całej gaży dla siebie spotrzebować nie mogę, przeto cieszę się, gdy mogę komuś pomódz. Ach, ja wiem, co znaczy głód i bieda, wiem jak trudno znaleść uczciwą robotę! Wszakże niedawno zależałam sama od dobroczynności ludzi!

Rajmund wzruszony uścisnął jej rękę.

— Jesteś pani szlachetną, — rzekł. — Należysz do

małej liczby tych, którzy doszedłszy do bogactwa nie zapominają, że niegdyś byli biednymi! Pomimo to jednak powinnaś pani obchodzić się trochę ostrożniej z pieniędzmi i pamiętać o przyszłości!

— O przyszłości? — powtórzyła Teresa, i znów stanęły łzy w jej oczach. — Dla mnie przyszłości nie ma! Póki mam mój głos, póty będę zadowoloną — cieszę się, gdy mogę publiczność na parę godzin zająć i rozweselić. A co potem będzie? Nie wiem, i bardzo mi to obojętne! Ja niczego już od życia nie chcę, jedyne moje szczęście, Henryk — leży w głębinach Dunaju!

I zbliżywszy się do okna, wskazała na rzekę.

— Tam jego grób, — szepnęła. — Tyle zacności, szlachetności i odwagi — wszystko znikło w kilku minutach!

— Nie możesz pani przecież wiedzieć, czy Henryk rzeczywiście nie żyje, — zawołał Rajmund. — Widziałaś go przecież sama płynącego na olbrzymiej krze lodu..... Nie wynika więc ztąd, aby się natychmiast utopił! Może zdołał dopłynąć do brzegu i leży teraz — co bardzo jest prawdopodobnem, chory w jakiej nędznej chacie wieśniaczej. A gdy wyzdrowieje.....

— Nie łudź mnie pan daremną nadzieją, — odrzekła Teresa smutnie. — Cuda nie dzieją się w dzisiejszych czasach, a to byłoby prawdziwem cudem, gdyby Henryk miał w ten sposób uniknąć śmierci! I zresztą, gdyby żył, to przecież dawno już byłby mi dał znać o tem, gdzie się znajduje. Wie on, że się o niego niepokoję i martwię i że taka niepewność zabija mnie! Nie, na tym świecie już go nie zobaczę — nigdy, nigdy!

W tejże chwili wszedł służący Teresy, a był nim ów wierny Walenty. który przez kilka lat służył u Henryka. Po zniknięciu swego pana został biedny chłopak bez służby i bez chleba, Teresa wzięła go więc zaraz do siebie i znalazła w nim najwierniejszego i najuczciwszego sługę.

— Proszę pani, — rzekł, — w sieni stoi jakiś ubogo ubrany człowiek, który chce z panią mówić w jakiejś bardzo ważnej sprawie.

— Kto to być może?

— Ja nie wiem. Powiedziałem mu już, że pani go teraz przyjąć nie możesz, że masz gości, ale on ani myśli odchodzić. Mówi, że musi pannę Krones widzieć, że przybywa do niej aż z węgierskiej granicy!

— Aż tam ztąd! — zawołała Teresa wzruszona, a zwracając się do Rajmunda dodała: — Widzisz pan, jak wielką jest nędza! Z tak dalekich stron przychodzą ludzie do mnie po wsparcie!

— Więc co mam zrobić z tym żebrakiem? — zapytał Walenty.

— Przyprowadź go tu natychmiast, a jeżeli się okaże, że uczciwym jest człowiekiem, to z próżnemi rękami nie odejdzie!

Walenty wyszedł, Rajmund zaś rzekł do Teresy:

— Nie powinnaś pani każdemu pierwszemu lepszemu włóczędze pozwalać wchodzić do twego pokoju. Ludzie wiedzą, że zarabiasz dosyć dużo pieniędzy, uważają cię może za bardzo majętną i złodziej jaki lub morderca mógłby w ten sposób wejść bezpiecznie, zabrać wszystko, i co gorsze, zamordować cię!

— Cóżby to szkodziło? Możebym mu nawet była wdzięczną za to! Zresztą nie trzeba tak źle sądzić o ludziach, więcej jest nieszczęśliwych, niż złych!

Teraz otworzono drzwi, i nieznajomy, który tak bardzo pragnął Teresę widzieć, wszedł do pokoju. Był to wysoki, barczysty mężczyzna, po którym na pierwsze wejrzenie można było poznać człowieka, przebywającego dużo na świerzem powietrzu. Twarz jego i ręce bronzowe były prawie od słońca, tylko czoło jaśniało białością marmuru. Zmieszany, stał na progu, obracając filcowy kapelusz w palcach i spoglądał już to na Teresę już to na dyrektora, jak gdyby nie wiedział, czy w obecności kogoś trzeciego może powiedzieć to, co mu na sercu ciążyło.

— Zbliż się, mój przyjacielu, — rzekła Teresa łagodnie, — nie potrzebujesz się niczego lękać. Wiem, że bieda sprowadziła cię do mnie. Powiedz mi kto jesteś i w jaki sposób mogę ci pomódz?

— Nie pani, — odrzekł młody człowiek z pewną dumą, — nie przybyłem tu, aby prosić o jałmużnę. Dzięki Bogu, nie potrzebuję tego, bo chociaż jestem tylko biednym rybakiem, to Bóg daje mi tyle, że mogę siebie i moją rodzinę dostatecznie wyżywić.

— Więc czegóż chcecie? — zawołała Teresa zaciekawiona.

— Znalazłem niedawno nad brzegiem Dunaju ten oto pierścionek. Znasz go pani?

Mówiąc to wyjął rybak z kieszeni skromną złotą obrączkę i podał ją Teresie.

— Mój pierścionek! — krzyknęła młoda dziewczyna, porywając obrączkę, — mój pierścionek! Dałam go Henrykowi tego dnia, gdyśmy się zaręczyli! Boże Wielki! Zkąd on się tu wziął! Jest to pamiątka po mojej matce — wewnątrz jest nawet wyryte nazwisko Krones!

— Tak, — odrzekł rybak, — i właśnie dla tego, że nazwisko to przeczytałem, postanowiłem, będąc w Wiedniu za sprawunkami oddać zgubę właścicielce!

— A zkąd znacie nazwisko tej pani? — zapytał Rajmund.

— Mój Boże, toć człowiek czyta czasem gazety. I zawsze tam tak dużo o pannie Krones! Nie sztuka więc znać to nazwisko, nieprawdaż?

— Mój pierścionek, — szeptała Teresa ze łzami w oczach. — Widzisz pan, — rzekła do dyrektora, — umarły przysyła mi swoje ostatnie pozdrowienie! Jest to jedyny podarunek, jaki odemnie otrzymał. Jakże jestem szczęśliwą, że niedostał się w niewłaściwe ręce!

I przycisnęła skromną obrączkę gorąco do ust.

Rajmund zaś ujął jej rękę i uścisnął ją serdecznie.

— I mówisz pani teraz jeszcze o Henryku, jak o umarłym? — zawołał wzruszony. — Czy pierścionek ten, znaleziony nad brzegiem rzeki, nie jest najlepszym dowodem, że udało mu się dopłynąć do lądu? Że jest uratowany? Powiedzcie mi przyjacielu, — dodał, zwracając się do rybaka, — w której okolicy znaleźliście ten pierścionek?

— Tam, gdzie okropne skały sterczą nad Dunajem, miejsce to nazywa się Porta Hungarica!

— Ah tam! Dalej, dalej!

— Na małem wzgórzu stoi — szubienica, stara, nikt nie pamięta. kto ją postawił, i w tem okropnem miejscu znalazłem pierścionek, leżący na śniegu. Widzę teraz, że oddałem go, komu należało i cieszę się, że nie sprzedałem go żydowi, który go chciał koniecznie kupić.

Teresa wzięła pięćdziesiąt guldenów z pieniędzy, jakie jej poprzednio wręczył Rajmund i podała je zdumionemu rybakowi.

— Weźcie to, — rzekła do niego, — i bądźcie pewnym, że za mało wam jeszcze zapłaciłam za przysługę, którą mi wyrządziliście przyniesieniem tej obrączki.

Po krótkim namyśle przyjął rybak sumę, która mu się olbrzymią wydała i podziękował za nią ze łzami serdecznej wdzięczności.

— Opowiedźcie nam jeszcze przyjacielu, — odezwał się znów Rajmund, — pod jakiemi warunkami znaleźliście ów pierścionek? Nie zauważyliście tam czegoś więcej? Może jakiego śladu tego, który pierścionek tam zgubił!

— Owszem, znalazłem ślady nóg na miękkim śniegu — szedłem za niemi i widziałem wyraźnie, że kończą się w lesie. Odtąd zaczynały się jednak ślady sanek.

— Pamiętaj pani to, —szepnął Rajmund, — ślady nóg prowadziły do sanek! Bardzo-to ważne dla nas!

— Co pan wnosisz z tego? — zapytała Teresa, mogąca z wzruszenia ledwie mówić.

— Otóż to, że hrabia Orszański zmęczony, upadł tam i zemdlał. Jacyś litościwi ludzie przyszli, zobaczyli go i zanieśli do sanków, stojących w lesie. Najważniejsza teraz rzecz dowiedzieć się, kto byli owi ludzie!

— Może potrafię dać państwu jeszcze jaką wskazówkę, — rzekł rybak. — Tego samego dnia, którego znalazłem pierścionek, widzieli sąsiedzi trzech myśliwych w naszym lesie. Mówiono, że oni z daleka przybyli, że mieli bardzo kosztowne futra, mianowicie jeden z nich, najmłodszy, i gospodarz naszej karczmy zapewniał mnie, że to Rosyanie!

— Rosyanie!

— Tak! Więcej nic nie wiem! I teraz życzę państwu, abyście znaleźli tego, kto ten pierścionek zgubił, widzę, że on pani bardzo jest drogim! Gdyby pani kiedy moich usług potrzebowała, to proszę się tylko spytać rybaków koło Porta Hungarica, o Czarnego Janka!

Po tych słowach pożegnał młody Węgier Teresę i Rajmunda i wyszedł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

71) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Mówiąc to, odwrócił się do okna i czekał z widoczną niecierpliwością na Feliksa.

Po kilku minutach był młodzian gotów z ubieraniem się.

— Mam zapalić świecę? — rzekł.

— Nie potrzeba! księżyc dosyć świeci jasno. Siadajmy teraz! I podaj mi rękę! Chcę ją trzymać w mej dłoni podczas całego opowiadania.

Feliks wypełnił natychmiast jego życzenie.

— Słuchaj, — zaczął Pedro. — Opowiem ci historyę mego najlepszego przyjaciela — ma to także związek z tobą....

Feliks domyślił się, że usłyszy coś o swoim ojcu, nie przeczuwał jednak, że ten, który trzyma tak mocno jego rękę, jest owym osławionym zbrodniarzem!

— Mów pan, — szepnął cicho, — słucham!

Pedro oparł się o poręcz krzesła, spojrzał na księżyc i zaczął drżącym głosem opowiadać swoje własne życie. Feliks słuchał z natężeniem.

ROZDZIAŁ CXXXI.

Historya Pedra de Branco.

— W Liverpolu żył kapitan okrętu Portugalczyk de Branco. Posiadał on w bliskości portu ładny mały domek, ale mieszkał w nim mało — przebywając ciągle nieomal na morzu. I tak była jego piękna i młoda żona zawsze sama! Przyjaciele jego odradzali mu ten ożenek, kapitan już był starym, a piękna Bella młodziutką, chciwą na pieniądze kobietą, ale zakochany po uszy nie usłuchał ich dobrej rady!

Nierówna ta para żyła z początku dosyć zgodnie, Bella była kochającą żoną, ale zaledwie mąż jej odpłynął w świat, zapomniała o nim, i bawiła się wesoło z licznymi swymi wielbicielami. Biegała z nimi na koncerta, bale i pijąc szampana, wyśmiewała starego męża.

Jednym z jej najgorliwszych wielbicieli był także Portugalczyk, jakiś zrujnowany hrabia, którego wszyscy nazywali Czarnym hrabią. Bella kochała go dawniej, oboje jednak nie mogli się połączyć dla braku pieniędzy. Po odjeździe kapitana nie odstępował ani na krok Belli, tak, że sąsiedzi i znajomi zaczęli się już gorszyć. Ale gdy kapitan wrócił, znikł hrabia w mieście, i w domku Branci nikt go teraz nie widział. Fałszywa Bella była znowu czułą żoną i wyznała kapitanowi, że spodziewa się zostać matką. Branco nie posiadał się z radości, syn — to było jego najgorętsze pragnienie. Z podwójnym też żalem opuszczał teraz żonę — byłby on chętnie został w domu, ale obowiązek wzywał go i musiał mu być posłusznym! Bella na to cieszyła się w duszy. Hrabia i ona ułożyli teraz haniebny plan! —

Postanowili oni zabrać cały majątek kapitana i uciekać zagranicę, a raczej do Portugalii, gdzie hrabia, mając dużo, jak mówił, znajomych, mógł się łatwo z Bellą ukryć przed zemstą zdradzonego męża.

Ale chciwość zdradziła ich.

Myśleli oni, że kapitan przywiezie znowu znaczną sumę pieniędzy i postanowili czekać na jego powrót. Kapitan spieszył do domu, uszczęśliwiony spełnieniem swoich najgorętszych życzeń, i dobroduszny ten człowiek nie byłby się niczego domyślił, gdyby mu teraz znajomi nie byli otworzyli oczu.

W pierwszej chwili oburzył się strasznie.



Feliks w gospodzie żyda Gregorowicza (patrz nr. 28 str. 856).

— Kłamstwo! — zawołał. — Oczerniacie moją żonę — zazdrościcie mi jej, ale ja wam nie wierzę!

Ale przyjaciele złożyli mu tak niezbite dowody winy, że biedny musiał im uwierzyć.

I wtedy zapłakał nad swem straconem szczęściem, a sympatyczna jego twarz postarzała się przynajmniej o jakie dziesięć lat. Potem jednak wstał, wyprostował się i pożegnał swoich przyjaciół.

— Co zamierzasz teraz uczynić? — zapytali.

— Idę do domu, do mojej żony, — odrzekł spokojnie.

— Ach, ty masz coś okropnego na myśli.

— Bylebyś nie popełnił nic takiego, czego będziesz później żałował!

— Wypełnię tylko mój obowiązek, — zawołał.

Przez kilka dni było wszystko dobrze. Kapitan bawił się z swoim synkiem, któremu dano imię Pedro, okazywał Belli równą zawsze serdeczność, i w końcu zaproponował jej przejażdżkę czołnem na morzu.

— Trzeba jeszcze kogo zaprosić, — dodał kapitan.

— Może Czarnego hrabiego, — rzekła Bella niedbale.

— Owszem! Dawno go już nie widziałem!

— W takim razie napiszę zaraz do niego!

— Czy znasz jego adres?

Bella zarumieniła się.

— Tak — spotkałam go raz na ulicy, i mówił mi, gdzie mieszka!

— Więc zaproś go na obiad, potem popłyniemy na nasze piękne, ukochane morze, które ma tyle miejsca dla żywych i — umarłych!

Hrabia przyjął z radością zaproszenie i stawił się punktualnie na obiad.

— Kiedy się wybierzemy w świat? szepnęła mu Bella gdy na chwilę sami zostali w pokoju.

— Za dwa lub trzy dni. Doniosę ci jeszcze o tem poprzednio. Ale nie zapomnij o pieniądzach!

— Broń Boże! Wezmę wszystko, co jest!

Po obiedzie wyjechali małym żaglowcem na morze.

— Nie wiem, czy się mylę, — odezwał się nagle hrabia, — ale zdaje mi się, że to czołno ciągle za nami jedzie. Gdzie się ruszymy, jest ono także.

I wskazał na małą łódkę, zaopatrzoną również w żagiel.

— Ah, nie, — odrzekł kapitan, — to przypadkiem tylko jedziemy w tę samą stronę! Ale proszę, przynieś mi pan z kajuty linę, którą tam zostawiłem na stole.

Hrabia zeszedł natychmiast.

Po chwili dał się słyszeć przeraźliwy jego krzyk i gdy wrócił na pokład, nie mógł w pierwszej chwili słowa wymówić. Twarz jego była śmiertelnie bladą.

— Woda! — jęknął. — Woda w kajucie na trzy stopy! Toniemy! Giniemy!

Bella krzyknęła i rzuciła się do męża, wiedząc, że on sam tylko może ja ocalić!

Kapitan nie ruszał się.

— Ratuj pan! — wołał hrabia, nieprzytomny ze strachu, — woda zaleje nas!

— Mężu! ratuj! — błagała Bella, płacząc. — Czy nie słyszysz, co hrabia mówi?

— Słyszę! — odpowiedział teraz Branca okropnym głosem. — I wiem, że woda w kajucie! Jest to moje dzieło! słyszysz, co hrabia mówi?

Hrabia i Bella poznali, że są zdradzeni.

— Więc pan — chcesz nas — zamordować — szeptał nędznik, drżąc ze strachu.

— Tak! Ciebie i tę wiarołomną kobietę!

Bella rzuciła się na kolana.

— Zmiłuj się! Nie zabijaj mnie! — krzyczała. — Będę ci wierną — zmiłuj się....

Druga łódka, o której hrabia poprzednio wspominał, zbliżyła się teraz szybko.

— Ach, ratunek! — wołał hrabia. — Oni nas ocalą! A wtedy zaskarżę cię o zamiar zamordowania nas!

Za całą odpowiedź rozśmiał się kapitan i kopnął tarzającą się u nóg jego Bellę.

Łódka zbliżyła się na piętnaście mniej więcej stóp, i majtek kierujący nią, rzucił deskę na żaglowiec kapitana. Bella zerwała się, chcąc szukać ocalenia na owej desce, woda bowiem zalewała już i pokład, ale kapitan odepchnął ją tak silnie, że się zatoczyła i upadła, pociągając za sobą hrabiego.

W następnej chwili był już kapitan w łodzi, deska znikła, i hrabia z Bellą bez możliwości ratunku w żaglowcu, zalanym wodą.

Była to straszna scena.

Jęki, krzyki i przekleństwa tonących przeszywały powietrze — każdy inny byłby się może w ostatniej chwili zlitował nad nimi, ale kapitan był nieubłagany.

Potem zniknął żaglowiec z hrabią i niewierną Bellą — powierzchnia morza była znowu gładką i spokojną — i łódka zwróciła się ku brzegom.

W ten sposób pomścił się Branca na wiarołomnej żonie i zdradzieckim przyjacielu!

Urzędownie zginęła Bella i hrabia na morzu z powodu nieszczęśliwego wypadku — czy znajomi uwierzyli temu, trudno powiedzieć, dosyć że kapitan nosił po żonie żałobę i że stał się podejrzliwym, nieufnym i zgryźliwym dziwakiem.

Małego Pedra oddał na pensyą i płacił za niego znaczną summę pieniędzy.

Pedro był ładnym i silnym chłopcem, ale niestety — miał skłonność do kradzieży!

W szkole okradał towarzyszów, w domu swoich przybranych rodziców, i mając lat dwanaście, był naczelnikiem bandy złodziejskiej, która stała się postrachem całego Liverpolu. Mali ci złodzieje pracowali z taką zręcznością i śmiałością, że starzy mogli byli brać ich za wzór.

To łotrowskie życie Pedra martwiło niezmiernie ojca, więc postanowił syna wywieść do Brazylii i umieścić go tamże w osadzie dla młodocianych przestępców.

Gdy się o tem dowiedział Pedro rzucił się przed ojcem na kolana i zawołał błagalnie:

— Widzę, że postępowanie moje było nagannem, ale przysięgam ci, że się poprawię! Pozwól mi zostać marynarzem, zobaczysz ojcze, że nie zrobię ci wstydu!

— Nigdy! — rzekł kapitan. — Marynarzami mogą być tylko uczciwi ludzie! W Brazylii istnieje osada młodocianych przestępców pod zarządem angielskim i tam oddam cię teraz. Zostaniesz tak długo, dopóki się nie przekonam o twej poprawie. Mam nadzieję, że za kilka lat będę cię mógł ztąd odebrać!

Pedro zerwał się jak szalony, a twarz jego zbladła śmiertelnie.

— Wesołego życia nie będziesz tam miał, — mówił kapitan dalej, — ciężką pracę, mało odpoczynku — ale lepiej dla ciebie, abyś tam zginął, niż abyś miał prowadzić w przyszłości takie życie, jak dotąd!

Pedro wiedział, że żadne prośby nie zmienią postanowienia ojca, więc milczał.

Ale serce jego ogarnęła niezmierna rozpacz.

I powiedział sobie, że woli umrzeć, niż żyć w tej osadzie przestępców. Ale chciał jeszcze poprzednio spróbować szczęścia.

W nocy wyszedł pokryjomu na pokład i zbliżył się do majtków, stojących koło steru.

— Zdaje mi się, — rzekł, — że w magazynie na dole powstał ogień. Idźcie prędko i zobaczcie, co się tam pali!

Marynarze przerażeni pobiegli szybko na dół, Pedro tymczasem spuścił czemprędzej łódź ratunkową, wrzucił w nią siekierę i trochę poprzednio przygotowanej żywności, i kilka minut później opuszczał okręt. Nie zapomniał jednak i o pieniędzach. Gdy ojciec usnął, otworzył wytrychem biurko i zabrał całą jego gotówkę w złocie i papierach!

Tymczasem wrócili marynarze na pokład, i widząc oddalającą się łódkę, domyślili się, że Pedro zwiódł ich, chcąc zyskać czas do ucieczki. Sternik kazał więc natychmiast spuścić drugą łódź, sam puścił się w pogoń za młodym zbiegiem i dogonił go wkrótce.

— Wróć w tej chwili, — zawołał, wskakując do czołna Pedra. — Okłamałeś nas, uciekasz, ach ty łotrze! Widzę tu szkatułkę pieniężną twego ojca — ukradłeś mu zatem wszystko! Wracaj!

I silną ręką uchwycił ramię Pedra.

Ale chłopak, zwinny jak kot, wysunął mu się z rąk, i podniósł siekierę.

— Precz! — krzyknął. — Oddalcie się, jeżeli wam życie miłe!

— Co, ty śmiesz mi grozić? Poczekaj! Ja ci zaraz pokażę, kto mocniej......

Nie dokończył już tego słowa.

Pedro spuścił siekierę i sternik upadł z rozpłataną czaszką.

Było to pierwsze morderstwo Pedra, ale nie ostatnie!

Chłopiec nie żałował swego uczynku, obawiał się jednak, że ojciec ścigać go będzie, dlatego postanowił płynąć dalej i wylądować na zupełnie innem, niż ojciec jego miejscu.

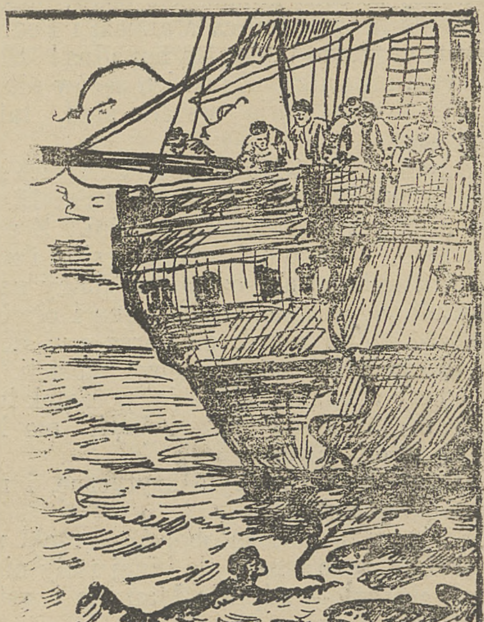
I tak błądził trzy dni na morzu. Pogoda sprzyjała mu, morze było spokojne, więc mu też żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

Ale teraz zaczął mu głód dokuczać.

To, co zabrał z sobą, dawno już było zjedzone — nie miał przytem wody, nie wiedział, gdzie się znajduje, i sądził, że zginie tu marnie z głodu i pragnienia.

Nagle spostrzegł zdaleka mały okręt i nowa nadzieja wstąpiła w jego serce.

Okręt zbliżył się do niego. Pedro przywiązał do ma-



Osłabionego, na wpół żywego z głodu Pedra, przyjęto nadzwyczaj gościnnie na okręcie.

sztu kawał płótna i dopóty dawał znaki dopóki kilku majtków nie przybyło po niego.

Osłabionego, na wpół żywego z głodu przyjęto nadzwyczaj gościnnie na owym yachcie, należącym do pewnego bardzo bogatego posiedziciela plantacyi, pana Meritos, który dla swej przyjemności jeździł nieustannie po wszelkich morzach.

Pan Meritos zabrał go z sobą do domu i opiekował ię nim z całą troskliwością.

Na pytanie jego, jakim sposobem znalazł się tak młody jak on chłopiec, sam, na pełnem morzu, odrzekł Pedro, któremu o jedno kłamstwo mniej lub więcej wcale nie chodziło, że okręt jego ojca spalił się, i że on sam tylko zdołał się uratować.

— I teraz nie masz pewnie ani znajomych w Brazylii, ani pieniędzy, — rzekł pan Meritos wzruszony.

— Nie mam nic, — odpowiedział Pedro z westchnieniem.

Nie chciał on się przyznać, że zabrał ojcu wszystkie jego pieniądze!

— W takim razie zostań u mnie, — rzekł poczciwy Meritos, — znajdę dla ciebie jakie miejsce!

Pedro zgodził się chętnie na tę propozycyą i został.

I tak minęło kilka lat.

Pedro miał teraz już lat ośmnaście, i posiadał nietylko zaufanie pana Meritosa, ale nadto miłość jego jedynej córki, szesnastoletniej Manueli.

Ładna to była dziewczyna i Pedro potrafił wnet pozyskać jej serce. Wychowana w samotności, nie znała innych młodych ludzi, a że Pedro bardzo pięknym był chłopcem, przeto nic dziwnego, że pokochała go szalenie!

Ojciec nie domyślał się niczego i pozwalał obojgu jeździć na polowania i chodzić na dalekie przechadzki.

Nie przypuszczał on ani na chwilę, aby Pedro nadużył w ten sposób jego gościnności i zaufania.

Pewnego dnia oznajmił córce, że syn jego przyjaciela zamierza się starać o jej rękę, i że życzeniem jego jest, aby została żoną młodego Tortajosa.

Manuela zdrętwiała!

Wiedziała, że ojciec jest nieugięty, i co raz postanowi, to też przeprowadzi — za jaką bądź cenę, i że nigdy w życiu nie pozwoliłby jej zaślubić Pedra.

Trzy dni później uciekła z swoim ukochanym.

I tu zabrał Pedro kasę swego dobroczyńcy — około dwudziestu tysięcy franków.

Szalony gniew owładnął Meritosa. Jego cała namiętność mieszkańca południa wybuchła z taką gwałtownością, że przysiągł pomścić się na zdrajcach, chociażby kosztem życia własnej córki.

I rzeczywiście wymyślił zemstę, godną szatana!

Zabrawszy ze sobą kilkanaście psów, puścił się konno wraz z Tortajosem w pogoń za Manuelą i Pedrem.

Biada temu, kogo takie psy napadną! Są one gorsze i chciwsze krwi, niż wilki. Z pod ich zębów nikt żywym nie wyjdzie. Psy te wyszukają wszelki ślad, tak znakomity mają węch!

Pedro tymczasem i Manuela biegli ile im sił starczyło. Sądzili oni, że w odwiecznych lasach Brazylii nikt ich tak łatwo nie znajdzie i byli dosyć spokojni. Z początku szło wszystko dobrze — oboje byli młodzi, silni i zdrowi, biegli więc prędko, układając najrozmaitsze plany na przyszłość, ale wnet uczuła się Manuela zmęczoną i oświadczyła, że musi wypocząć. Znajdowali się teraz nad dosyć szeroką przepaścią, którą koniecznie przebyć musieli. Obejść jej nie mogli, bo nie wiedzieli, gdzie jej początek lub koniec — Pedro zaś sam byłby ją przeskoczył, ale Manuela nie chciała się na to odważyć.

Położenie ich bardzo było krytyczne, i nie wiedzieli wcale, jak sobie poradzić.

— Będziemy musieli ją obejść, — rzekł w końcu Pedro. — Stracimy dużo czasu, ale innej rady nie ma!

— Jak chcesz, — odparła Manuela i wstała, aby się do dalszej zabrać drogi.

Nagle — rozległ się huk strzału i kula przeleciała nad głową Pedra, a równocześnie dało się słyszeć przeraźliwe szczekanie i wycie.

— Jesteśmy zgubieni! — krzyknęła Manuela. — Psy znalazły nas!

I w tejże chwili wypadły straszliwe zwierzęta z zarośli z wyciągniętemi językami i zakrwawionemi oczami, i pędziły jak szalone ku przepaści.

Za niemi ukazali się obydwaj jeźdźcy na spienionych koniach.

— Uciekaj! — zawołała Manuela, — ratuj się! Ty sam przeskoczysz przepaść.

— Ale ty masz pieniądze, — szepnął Pedro. — Oddaj mi je!

Manuela milcząc, wyjęła z kieszeni grubą paczkę banknotów i podała ją Pedrowi.

W następnej sekundzie przeskoczył Pedro przepaść — upadł wprawdzie, ale zerwał się i — był ocalonym!

Psy rzuciły się jak wściekłe na nieszczęśliwą Manuelę i rozszarpały ją w mgnieniu oka!

Na widok ten oprzytomniał ojciec i jak martwy upadł na ziemię. Czy umarł, czy dostał pomieszania zmysłów — tego nie wiem, ale.....

— A cóż Pedro? — przerwał Feliks cichym, drżącym głosem.

— Pedro zdołał ujść do Cayenne, i żył tam długo z pieniędzy, które ukradł swemu ojcu i Meritosowi.

Ale w końcu wyczerpały się wszystkie tysiące i teraz udał się do Rio de Janeiro.

Tam pozostał całe dziesięć lat.

Czem się tam zajmował — o tem wolę już milczeć, nadmieniam tylko, że nigdy nie popełniano tam tyle ciężkich kradzieży, jak wtenczas właśnie.....

Pedro stał się pospolitym złodziejem!

Wiesz pewnie, że w Brazylii znajdują się kopalnie brylantów — rząd się niemi opiekuje.

W całem państwie jest surowo zakazanem kupowanie brylantów, jeżeli sprzedający nie może się dostatecznie wylegitymować z prawnego posiadania ich. Robotnicy bowiem w kopalniach używają najrozmaitszych podstępów, aby wynosić brylanty i sprzedawać je na własną korzyść.

Pedro znalazł w Rio de Janeiro przyjaciela z którym przez długi czas wykonywał najśmielsze kradzieże, ale w końcu znudziło się temu przyjacielowi rzemiosło złodzieja i postanowił w kopalniach dyamentów szukać szczęścia.

Pewnego dnia przyszedł on do Pedra i opowiedział mu, że znalazł wielkie dwa brylanty, że schował je w ziemi, i że teraz chodzi tylko o wydobycie ich z miny bez wiedzy inspektorów i dozórców. Nie wie jednak, jak się do tego zabrać i prosi o radę.

Pedro namyślił się przez chwilę. Wiedział on, jak ciężko karzą w Brazylii złodziei dyamentów, ale chciwość zwyciężyła wszelką obawę.

— Przyjdź jutro. Ułożę cały plan!

Przyjaciel przyszedł nazajutrz i obydwaj rozmawiali długo przy zamkniętych drzwiach, a gdy odchodził, uścisnęli sobie znacząco ręce — plan był ułożony!

Kopalnia dyamentów znajdowała się w głębokim wąwozie, tak, że o ucieczce na skały mowy być nie mogło. Żołnierze pilnowali wszelkich wyjść i mieli rozkaz zastrzelenia każdego, ktoby z wąwozu wspinał się w górę w zamiarze ucieczki. A pomimo to postanowił Pedro właśnie na tej drodze wykonać kradzież.

Na drugi dzień stał na oznaczonem miejscu, jak zwykle żołnierz z nabitą bronią. Spojrzał na dół w głąb wąwozu, gdzie robotnicy pracowali i nie widząc nic podejrzanego, przechadzał się spokojnie.

Nagle zbliżył się do niego jakiś oficer.

Żołnerz, nieznający go stanął w przepisanej pozycyi i zażądał parolu, ale w tejże chwili zarzucił mu oficer lasso na szyję, i zaciągnął tak mocno, że żołnierz nie mógł się bronić. Upadł na ziemię i po upływie kilku minut nie żył.

Nie potrzebuję pewnie dodawać, że oficerem tym był Pedro de Branca.

Po spełnieniu tej zbrodni przechylił się Pedro przez brzeg wąwozu i gwizdnął.

Z dołu odpowiedziano mu natychmiast.

Teraz wyciągnął Pedro drabinkę z mocnych sznurów jedwabnych skręconą, spuścił ją, i oparłszy się o drzewo, trzymał ją mocno obydwiema rękami.

Po chwili wyprężyła się drabinka — ktoś wciągał się po niej w górę i wkrótce ukazała się głowa robotnika.

— Masz brylanty? — zapytał Pedro.

— Mam!

— Pokaż mi je! Chcę się przekonać, czy warto było zabijać dla nich żołnierza.

Robotnik podał [illegible] wielkie, niezmiernie [illegible]ne dyamenty.

(Ciąg dalszy [illegible]

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENE BAZIN.

17) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Zbliżał się już czas, kiedy Jan miał wstąpić do wojska. Należało go uprzedzić o odmowie, która spotkała wuja Ulrycha od pana Bastiana. Ciężkie to było zadanie łamać młodą i gorącą miłość, cięższe, niż wyprawa wojenna. Pan Ulrych wahał się długo, wreszcie przybył do Alsheimu i odrazu wypowiedział Janowi całą prawdę. Rozmawiali z sobą przeszło godzinę, a właściwie mówił wuj, starając się pocieszyć młodego cczłowieka, który nie ukrywał swego smutku, ni łez.

— Płacz, moje dziecko — mówił do niego. — Teraz twoja matka jest obecną przy pierwszem widzeniu się Lucyny i tego Niemca... Wyznaję, że nie rozumiem jej zupełnie... Płacz, ale nie daj się złamać. Trzeba, żebyś jutro był mężnym. Pomyśl, że za trzy tygodnie będziesz w koszarach. Oni nie powinni widzieć twych łez. Zresztą, rok prędko upłynie, wrócisz znów do nas, a wtedy... kto wie?...

Jan przetarł ręką oczy i rzekł stanowczo:

— Nie, mój wuju!

— Co, nie?

Zeszłej zimy siedzieli w tym samym pokoju, gwarząc wesoło o przyszłości. I dziś także byli razem w tym samym pokoju, na tej samej kanapie.

Wieczór zapadał, wieczór jasny i ciepły.

Pan Ulrych spojrzał na zgnębioną twarz Jana i uderzyła go w niej ta sama energia, którą niegdyś tak bardzo był zachwycony. W oczach koloru Wogezów, pod zrośniętemi brwiami paliły się jakieś chwilowe błyski, ale źrenice były nieruchome.

— Nie — powtórzył Jan. — Musisz wiedzieć ty i jeszcze jedna osoba, że tu nie będę odbywał służby wojskowej.

— Gdzież więc?

— We Francyi.

— Jak ty to powiedziałeś! Czy mówisz seryo?

— Najzupełniej.

— I opuszczasz kraj zaraz?

— Nie. Po wstąpieniu do pułku.

Pan Ulrych podniósł ręce:

— Ależ to szaleństwo. Wtedy będzie dużo trudniej i niebezpieczniej! Jesteś szalony!

I zaczął szybkiemi krokami chodzić po pokoju, gestykulując żywo; zdawało mu się, że mówi półgłosem, ponieważ nie chciał, aby służba słyszała treść rozmowy.

— Dlaczego potem? Ostatecznie jest to pierwsza rzecz, która mi przychodzi d głowy wobec twego projektu. Dlaczego?

— Chciałem emigrować przed wstąpieniem do pułku — mówił powoli Jan; — ale mama zaczęła się czegoś domyślać i kazała mi przysiądz, że będę w koszarach; idę więc tam. Nie próbuj mnie zachwiać. To jest może nierozsądne, ale obiecałem i dotrzymam słowa.

Pan Ulrych ruszył ramionami.

— Odpowiednia chwila jest rzeczą ważną, ale nie stanowi o wszystkiem. Najważniejszem jest samo postanowienie. Co cię skłoniło do jego powzięcia? Czy słowa twego dziadka?

— Nie, on myślał tak samo, jak ja, oto wszystko.

— Może zdecydowała cię odmowa mego przyjaciela Bastiana?

— Bynajmniej. Gdyby on nawet dał swe przyzwolenie, poszedłbym do niego dziś i wyznałbym to samo, co ci wyznaję: nie będę mieszkał ani w Niemczech, ani w Alzacyi.

— A więc małżeństwo twej siostry?

— Tak, ten jeden cios wystarcza w zupełności, aby mnie ztąd wygnać. Jakież byłoby moje życie w Alsheimie po tym fakcie? Czy pomyślałeś o tem?

— Zastanów się, Janku. Opuszczając Alzacyę, porzucasz swoją placówkę!

— Nie, bo nic już dla Alzacyi zrobić nie mogę. Wobec skompromitowanej opinii ojca i skandalicznego małżeństwa siostry nie potrafię już odzyskać zaufania Alzatczyków.

— Nazwą cię dezerterem!

— Niech mi to powiedzą wtedy, gdy będę służył we wojsku francuzkiem!

— A twoja matka? Zostawisz ją zupełnie opuszczoną.

— To jedno mogłoby mnie powstrzymać... wahałem się długo.... Ale przecież moja matka nie może żądać, ażebym się tak bezużytecznie poświęcał przez całe życie, jak ona... Z czasem przyzna mi, słuszność, gdy się przekona, że zrzuciłem z siebie to nieznośne jarzmo, które przez całe życie ciężyło nad nią... I wybaczy mi z pewnością. A zresztą........

I wskazując ręką łamaną linię zielonych Wogezów, kończył:

— Zresztą pozostaje mi ta „ukochana", jak ją nazywasz, wuju, Francya. Ona mnie ciągnie — ona pierwsza przemówiła do mnie...

— Dziecko! — zawołał pan Ulrych.

Stanął przed młodym człowiekiem, siedzącym nieporuszenie, i uśmiechnął się do niego.

— O jakże pięknym musi być narod, ktoryby pozostawiał po sobie taki żal? Ach! ta krew błogosławiona dotąd jeszcze mówi w twej duszy!...

Zatrzymał się chwilę:

— A jednak nie mogę ukrywać przed tobą wszystkich trudności i rozczarowań, które masz do przebycia. To mój obowiązek, Janku! Gdy przejdziesz granicę i przyjmiesz poddaństwo francuskie, na co ci prawo tamtejsze pozwoli, odbędziesz służbę wojskową. Nieprawdaż? Ale co masz zamiar zrobić potem?

— Potrafię w jakikolwiek sposob zapracować na życie.

— Nie rachuj na to zbytecznie. Nie łudź się, że Francuzi przyjmą cię z otwartemi ramionami dlatego, że jesteś Alzatczykiem.... Oni zapomnieli może jeszcze więcej niż my... Przypominają dłużników, którzy mają dawne rachunki do uregulowania: płacą niechętnie i w opóźnionym terminie. Nie sądź, że ci tam pomogą chętniej, niż komuś innemu.....

Siostrzeniec mu przerwał:

— Jestem przygotowany na wszystko. Nie mówmy o tem więcej... dobrze?

Wuj Ulrych gładził swą siwą, ostrą brodę, wreszcie długo w milczeniu wpatrywał się w swego siostrzeńca, a uśmiech porozumiewaczy rozjaśnił jego twarz, wreszcie rzekł:

Teraz, kiedy już spełniłem swój obowiązek, a wymowa moja okazała się daremną, muszę ci wyznać, Janku, że i ja nieraz miewałem myśli, podobne do twoich... Cobyś na to powiedział, gdybym za tobą poszedł do Francyi?

— Ty, wuju?

— Nie zaraz. Zostałem tu tylko dlatego, że chciałem widzieć, jak rośniesz i rozwijasz się..... Wierzyłem, że ty podtrzymasz naszą tradycyę... Teraz to wszystko upadło w gruzy.... Wiesz, obecność moja mogłaby cię tam uchronić od zbyt chłodnego przyjęcia.

Jan był tak przejęty ważnością powziętego postanowienia, że nie mógł spokojnie mówić o przyszłości.

— Słuchaj, wuju, za kilka dni poproszę cię o pomoc... dlatego dziś chciałem cię o wszystkiem uprzedzić.

Podniósł się z kanapy, poszedł do swej biblioteki, znajdującej się blizko głównego wejścia, wyjął z szafy mapę głównego sztabu i rozwinął ją, wracając na swoje miejsce.

— Zbliż się trochę, wuju, i zajmijmy się razem geografią.

Rozłożył na kolanach mapę Dolnej Alzacyi.

— Zdecydowałem się uchodzić tędy — rzekł. — Właściwie trzeba będzie trochę zbadać miejscowość.

Wuj Ulrych skinął głową twierdząco. Interesował go program ucieczki, tak, jak gdyby szło o polowanie, albo o bitwę z wrogami.

— Dobre miejsce -- rzekł po chwili. — Grand-Fontaine... les Minieres. Zdaje mi się, że tutaj granica jest najbliższą Strassburga... istotnie... kto ci dał te wskazówki?....

— Franciszek, młodszy syn Ramspachera.

— Możesz mu zaufać. Czy pojedziesz koleją?

— Tak.

— Dokąd?

— Sądzę, że do Schirmeck.

— Nie, Schirmeck to zbyt ważna stacya i leży za blizko granicy. Na twojem miejscu wysiadłbym o jednę stacyę bliżej, w Russ Hersbach.

— Dobrze. Tam wezmę powóz, który naprzód zamówię, dojadę do Grand-Fontaine i skryję się w lesie.

— Skryjemy się w lesie, chcesz zapewne powiedzieć?

— Idziesz ze mną, wuju?

Spojrzeli na siebie z pewną dumą.

— Jakto? — ciągnął pan Ulrych. — Dziwisz się! Przecież to moje rzemiosło. Mam już wprawę w szukaniu ścieżek i błąkaniu się po lasach. Najpierw zbadam grunt dokładnie, przejdę las wszerz i wzdłuż kilkakrotnie, żebym się mógł w nim oryentować, nawet w nocy, i powiem ci, czy plan jest dobry.. W naznaczonym dniu i o umówionej godzinie spotkamy się w Russ-Hersbach. Włóż tylko na siebie ubranie turystowskie: miękki, filcowy kapelusz, kamasze i żadnego bagażu!

— Oczywiście.

Pan Ulrych patrzył z żalem na pięknego, dzielnego młodzieńca, który miał wkrótce opuścić na zawsze ziemię swych praojców.

— A jednak to strasznie smutne, pomimo całej rozkoszy niebezpieczeństwa — dodał z westchnieniem.

— Ba! — rzekł Jan, zmuszając się do uśmiechu — zwiedzę źródła Renu, tam, gdzie on jest wolny.

Wuj go uścisnął:

— Odwagi, mój chłopcze! Zobaczymy się wkrótce Strzeż się, żeby nikt się nie domyślił, jakie masz zamiary... Kogo jeszcze chcesz w nie wtajemniczyć?

— Pana Bastiana.

Pan Ulrych skinął głową, kierując się ku drzwiom, zatrzymał się w progu i wskazując na pokój sąsiedni, którego już nie opuszczał pan Filip Oberle, rzekł:

-- Biedny człowiek! A jednak, przy całem swem niedołęztwie fizycznem ma on daleko więcej poczucia honoru, niż wszyscy inni razem! Do widzenia, drogi Janku!

. . . .

Po wyjściu wuja Jan udał się do biura fabryki i, według zwyczaju, spędził tam kilka godzin. Był jednak tak bardzo zajęty swemi myślami, że praca nie szła mu zupełnie.

Roztargnienie jego zauważyli urzędnicy biurowi i jeden z dozórców, Niemiec, rzekł do pisarzy, także Niemców:

— Jazda niemiecka czyni tu straszne spustoszenia.... nasz szef zupełnie stracił głowę!

Roześmieli się wszyscy dyskretnie, ożywieni tym samym duchem patryotycznym.

Zadzwoniono na obiad.

Jan myślał z pewną obawą o spotkaniu z matką i siostrą.

W chwili, gdy mieli wejść do sali jadalnej, Lucyna odciągnęła brata na stronę, w półcień i ucałowała mocno, przyciskając serdecznie do piersi. Jak u wszystkich narzeczonych, uścisk jej, bezwiednie wprawdzie, przeznaczony był częściowo dla innego; myśl jednak należała do Jana. Mówiła szeptem:

— Wiesz, widzieliśmy się dzisiaj w Obernai dosyć długo. On jest tak dumny, jak i ja... podoba mi się ogromnie... Obiecał mi, że będzie cię protegował w pułku. Ale przy stole nie będziemy o nim mówili, dobrze? Tak będzie lepiej... Mama zachowywała się zupełnie dobrze. Rozczuliła mnie bardzo... Biedna... zdaje się już nie mieć sił... Dla jej uspokojenia byłam zmuszoną, Janku, zdradzić twoją tajemnicę... Zapewniłam ją, że nie opuścisz Alzacyi, dlatego, że kochasz Otylię... Czy mi wybaczasz?

Wzięła go pod rękę i przeszli razem przedsionek, prowadzący do sali jadalnej, gdzie już siedzieli państwo Oberle w głębokiem milczeniu.

— Mój drogi, w tym domu każda radość okupiona jest smutkiem innych... Ja tylko jedna jestem szczęśliwą!

Obiad trwał krótko. Zaraz potem pan Oberle uprowadził Lucynę do sali bilardowej, chcąc ją rozpytać o wszystkie szczegóły widzenia się z narzeczonym.

Przy stole została pani Oberle z synem. Twarz biednej kobiety straciła wyraz przymusu i rozjaśniła się uśmiechem. Z zachwytem i miłością patrzyła czas jakiś na swe ukochane dziecko, wreszcie rzekła doń głosem pełnym uczucia:

— O, mój najdroższy, siły mnie opuszczają, jestem zupełnie wyczerpana i muszę się oddalić. Chcę ci jednak powiedzieć, że w swem strasznem nieszczęściu doznałam pociechy... Wyobraź sobie, do dnia dzisiejszego byłam głęboko przekonaną, że chcesz nas opuścić.

Jan zerwał się z miejsca.

— O, nie myślę już o tem, nie przerażaj się... spokój zawitał do mojej duszy... Twoja siostra powiedziała mi dzisiaj w tajemnicy... że z czasem będę miała Alzatkę za synowę... To mi przyniosło tyle pociechy... Rozumiem dobrze, że wśród takich przejść nie miałeś czasu powiedzieć mi o wszystkiem... zresztą, to się stało niedawno, nieprawdaż? Czemu tak drżysz mój najdroższy? Przecież niczego nie żądam od ciebie, otrząsłam się ze wszystkich obaw... Kocham cię tak bardzo...

I ona również całowała Jana, przyciskając go mocno do piersi.

Dusza jej była przepełniona czułością, ale ta czułość odnosiła się wyłącznie do ukochanego syna.

Przypominała sobie jego niemowlęctwo, czuwanie nad kolebką, noce nieprzespane, dnie spędzone we łzach tęsknoty, wszystkie niepokoje, obawy, marzenia, modlitwy gorące i myślała:

— Wszystko to jest niczem w porównaniu z tem, cobym chciała jeszcze zrobić dla niego, zawsze dla niego!

Opuściła jadalnię i poszła do pokoju dziadka, którego zawsze odwiedzała przed udaniem się na spoczynek.

Jan powstał z miejsca, wyszedł z pokoju i chcąc się nieco orzeźwić, wybrał się na przechadzkę; długi czas błąkał się po polach, wreszcie znalazł się koło drzew, otaczających siedzibę pana Bastiana, wszedł do parku i ukryty w cieniu drzew przyglądał się czas jakiś smudze światła, wymykającej się przez szparę okienic wielkiej sali.

Do uszu Jana dochodziły dźwięki rozmowy; nie słyszał wprawdzie wyrazów, ale doskonale odróżniał dźwięki głosów.

Rozmowa toczyła się wolno, Janowi zdawało się, że w tym domu panował nastrój smutny. Ogarnęła go pokusa wejścia do sali... Myślał:

— Teraz, kiedy zdecydowałem się opuścić Alzacyę, kiedy wskutek postępowania mego ojca i małżeństwa Lucyny, odmówiono mi ręki Otylii, nie mam już prawa mówić z nią. Odejdę ztąd, nie wiedząc nawet, czy cierpi podobnie, jak ja. Czyż nie mógłbym jednak zobaczyć tej mojej ukochanej po raz ostatni, w jej kółku rodzinnem, przy świetle wieczornej lampy, jednoczącej wszystkich przy wspólnej pracy? Nie będę do niej pisywał i nie będę szukał spotkania, ale niech ją ujrzę przynajmniej raz jeszcze i uniosę z sobą ostatnie jej wspomnienie; niech wie, że jestem godny przynajmniej litości.

A jednak się wahał.

Czuł się dzisiejszego wieczoru zbyt słabym i nieszczęśliwym. Wróci tu jednak przed pierwszym października...

Nagle spłoszył go szelest kroków, dochodzących z ogrodu, spojrzał więc raz jeszcze na światła, dochodzące z pokoju, gdzie czuwała Otylia i odszedł do domu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)